



BEZTROSKE I RADOSNE
— takie powinno być dzieciństwo.
Młodzi obywatele Chin Ludowych
w pełni korzystają ze wszystkich
przywilejów dziecięcego wieku.

SZTUKA wówczas jest żywa, gdy łączy się ściśle ze sprawami życia. Oto przed dwoma przeszło laty w Związku Radzieckim rozpoczęła się niezwykle ważna i płodna w skutkach dyskusja na temat dramaturgii. W toku tej dyskusji zdemaskowano podstawowy błąd tej dramaturgii, wywodzący się z mylnej teorii bezkonfliktowości. To stwierdzenie miało wielkie znaczenie nie tylko dla dramaturgii radzieckiej, nie tylko dla radzieckiej sztuki. Ma ono wielkie znaczenie dla życia.

Niedawno opublikowano uchwałę Komitetu Centralnego PZPR w sprawie związków zawodowych. Trzeba sobie uświadomić, iż nieodgrywanie właściwej roli przez wiele związków zawodowych zrodziło się na podstawie swoistej teorii bezkonfliktowości. Teoryjka ta pacy zdrowe polityczne spojrzenie na rzeczywistość. Cel przedstawia jako osiągnięcie, dążenie jako rezultat, przyszłość jako teraźniejszość. Teoria bezkonfliktowości rozbraja zarówno artystę, jak i działacza, jak i każdego człowieka.

Dlaczego usychała działalność wielu central związkowych, ich różnorodnych ogniw, rad zakładowych, komisji, grup związkowych i mężów zaufania? Dlatego, że rozrastało się jak chwast mylne przekonanie, że w naszym ustroju nie ma już żadnych konfliktów, żadnych sporów, żadnych starć, żadnej walki. Byli (i są jeszcze) ludzie, rozumujący w następujący sposób:

— Żyjemy w państwie demokracji ludowej, budującym ustrój socjalistyczny. Władza obszarników i kapitalistów została raz na zawsze obalona i zlikwidowana. Władzę objęła klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem. Czyli że właściwie związki zawodowe w naszej, ludowej Polsce nie mają już nic do roboty, gdy nie ma zasadniczej sprzeczności, sprzeczności klasowej między państwem i robotnikami, między pracodawcą i robotnikami. Związki zawodowe to właściwie jakiś przeżytek przeszłości, jakaś dekoracja przestarzała czy też taka tam instytucja, którą trzeba od czasu do czasu gdzieś podpisać.

NIC mylniejszego, nic błędniejszego od takiego rozumowania. Prawda, że w Polsce Ludowej, w upaństwowionym przemyśle, handlu, w państwowych gospodarstwach rolnych, w instytucjach państwowych wszelkiego rodzaju nie ma już antagonizmów, klasowych konfliktów między pracodawcą i pracownikiem. Bo i pracodawcą i pracownikiem to jest to samo ludowe, robotniczo-chłopskie państwo. Nie oznacza to jednak, by między załogą fabryki czy robotnikami PGR-u z jednej strony a administracją fabryki a kierownictwem technicznym, a nawet instancjami kierowniczymi, resortowymi nie mogły powstawać

spory, nie mogły powstawać ważne dla życia i pracy robotników kwestie sporne.

Nie tylko mogą powstawać, ale one codziennie, co godzina w setkach, w tysiącach zakładów pracy powstają. Jakże często dyrekcja fabryki idzie do wykonania planu drogą najłatwiejszą, nie zawsze zgodną z poszanowaniem praw człowieka pracy w Polsce. Jakże często marnują się miliony złotych, które państwo przeznacza na urządzenia bezpieczeństwa i higieny pracy. Jakże często polecenia władzy ludowej, idące na rękę klasie robotniczej, pozostają niewykonane. Jakże często ten i ów przeciwstawia interes państwa ludowego, sprawę produkcji, sprawę planu — dobrze pojętym interesom robotników. Czyż nie działo się tak, że sumy przeznaczone przez państwo na odzież ochronną obracane były na wykupywanie milionów metrów tkanin najgorszego gatunku, z którymi nie wiadomo było co zrobić?

POWIADAMY, że we wszystkich dziedzinach naszego życia działać musi podstawowa siła postępową, jaką jest w naszym ustroju krytyka i samokrytyka. A przecież osłabienie działalności związków zawodowych, zepchnięcie ich jakże często do roli biurokratycznych instancji — to nie co innego, jak pomniejszenie znaczenia krytyki, inicjatywy społecznej, kontroli — w miejscach najważniejszych — tam, gdzie żyje, pracuje, tworzy nasza klasa robotnicza. Nie może być tak, by najżywotniejsze sprawy współzawodnictwa pracy, racjonalizatorstwa, warunków pracy i płacy, urlopów, stołówek, żłobków, świetlic, bibliotek, były pozostawione do wyłącznej decyzji administracji, choćby na najwyższym szczeblu.

Biurokracja to nie żelazny wilk z bajki. Bezdusność, brak troski o człowieka, o coraz lepsze zaspokojenie ludzkich potrzeb — to nie legendy, ale codzienna rzeczywistość. Nie ma konfliktów klasowych między państwem ludowym i klasą robotniczą. Istnieją tysiące konfliktów między poszczególnymi grupami robotniczymi, między załogami i biurokratyzmem, bezdusnością, odwracaniem się plecami do człowieka. Nasz ustrój pełen jest takich konfliktów. Nasze życie rozwija się, postęp dokonuje się w ogniu tych konfliktów, w przewyżnianiu zła codziennie, na każdym kroku.

Tu właśnie olbrzymia rola związków zawodowych, które dopiero teraz rozwinąć mogą i powinny szeroko swoją działalność, jako wyraziciele praw i interesów klasy robotniczej. Jest to nowe spojrzenie na działalność związków zawodowych, które przynosi nam uchwała Komitetu Centralnego. Otwiera ona przed nami, wszystkimi ludźmi pracy w Polsce, pole olbrzymiej działalności.

JAN SZELAĞ

ZOBOWIĄZANIA PIERWSZOMAJOWE



Cały kraj podejmuje zobowiązania dla uczczenia majowego święta. Wraz ze swymi polskimi kolegami z budowy Pałacu Kultury i Nauki, wiele cennych zobowiązań podjęła także brygada radziecka Jakowlewa z bazy zaopatrzeniowej w Jelonkach

PO BOJOWYM LOCIE



Nawet w trudnych warunkach atmosferycznych oficerowie lotnictwa wykonują z poświęceniem swoje zadania. Na zdjęciu: piloci Świątynicki, Lachiewicz i Surma odczytują na wykresie graficznym wyniki dokonanego lotu.

REKONSTRUKCJA BARBAKANU



Na Starym Mieście budowniczowie Warszawy rekonstruuja bardzo pieczołowicie, według starych planów i sztychów, średniowieczny Barbakan oraz potężne mury obronne. Prace renowacyjne są już posunięte daleko naprzód

AMBASADOR PRL W PARYŻU



Muller
W pierwszej połowie kwietnia przybył do Paryża nowy ambasador PRL Stanisław Gajewski (czwarty od lewej). W gmachu Ambasady powitał go charge d'affaires Ogrodziński oraz przedstawiciel francuskiego protokołu — Lesca.

DEMONSTRUJĄ KOBIETY LONDYNU



Keystone
Podczas debaty nad projektem nowego budżetu rządowego w angielskiej Izbie Gmin, kobiety Londynu zorganizowały demonstrację, domagając się uchwalenia praw i płac za pracę zawodową kobiet na równi z mężczyznami.

SETNY WYŚCIG OXFORD — CAMBRIDGE



Keystone
Na Tamizie pod Londynem odbyły się na początku miesiąca, po raz setny, słynne wyścigi regatowe pomiędzy załogami wiosłarskimi dwóch najstarszych uniwersytetów angielskich: Oxford i Cambridge. Zwyciężył Oxford o 4 długości łodzi.

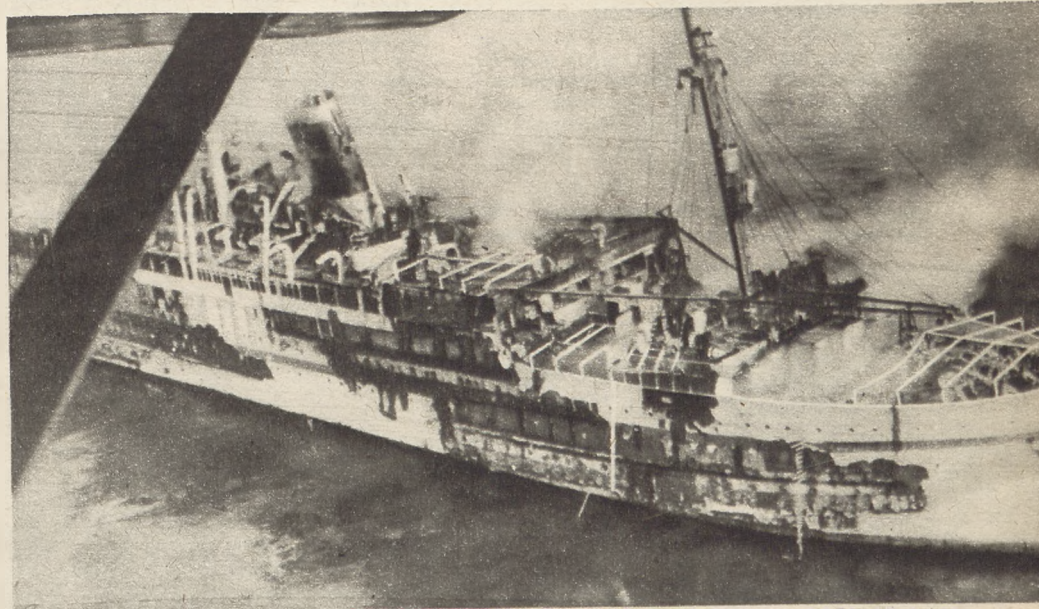
CZWARTY ZJAZD SED



Zentrabuda
W dniu 6 kwietnia zakończył w Demokratycznym Berlinie obrady IV Zjazd Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED). Był on wielką demonstracją odradzających się pokojowych sił oraz spójności wewnętrznej niemieckiego narodu. W Zjeździe brały także udział liczne delegacje postępowych partii politycznych całego świata. Zdjęcie górne przedstawia moment wyborów Prezydium Zjazdu. Po prawej: delegacja hutników i stoczniovców wręcza Ministrowi Przemysłu Ciężkiego, Selbmannowi, symboliczny kawałek rury z ukończonej budowy rurociągu w Riesa. Na drugim planie — premier Grotewohl.



POŻAR ANGIELSKIEGO PAROWCA



Keystone
Podążający z Dalekiego Wschodu do Anglii olbrzymi transportowiec wojskowy „Empire Windrush” uległ, na pełnym morzu w pobliżu Algieru, katastrofie pożaru. Zamieszczone zdjęcie, dokonane z samolotu, przedstawia płonący statek.

PIĘKNO TAŃCÓW LUDOWYCH



Agerpress
Rumuńska Centralna Rada Związków Zawodowych opiekuje się troskliwie samodzielnymi talentami ludowymi. W teatrze związkowym w Bukareszcie zobaczyć można wiele pięknych tańców w wykonaniu robotniczych zespołów artystycznych.

FABRYKA ZIELONYCH MASZYN

W. NOWIERSKI

DŁUGIE szeregi maszyn, pomalowanych na kolor młodej zieleni, stały na wielkim dziedzińcu przed halą montażową. Właśnie opuszczała Fabrykę Maszyn Rolniczych w Brzegu nad Odrą nowa partia: były tam zgrabne i lekkie, choć bardzo sprężyste siewniki do traw i koniczyn, były i pękaty rozsiewacz do nawozów sztucznych, i ciężkie ugniatacze podglebia, tzw. wały Kampbella, i siekacze do buraków, i śrutowniki.

Czeka na nie nasza wieś — teraz, w okresie nateżenia akcji siewnej — ze szczególną niecierpliwością. Jasne już się bowiem stało dla chłopów, że mechanizacja uprawy w potężnym stopniu przyczynia się do uzyskania wysokich plonów.

Nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę, jak skomplikowany i trudny jest proces produkcyjny tak prostej pozornie maszyny, jak np. popularny już dziś na wsi siewnik nawozowy „Kujawiak“, ile wysiłków włożył konstruktor, technik fabryczny i robotnik w produkcję tej maszyny, która niejednokrotnie

przez złą konserwację i niewłaściwe użytkowanie niszczone bardzo prędko.

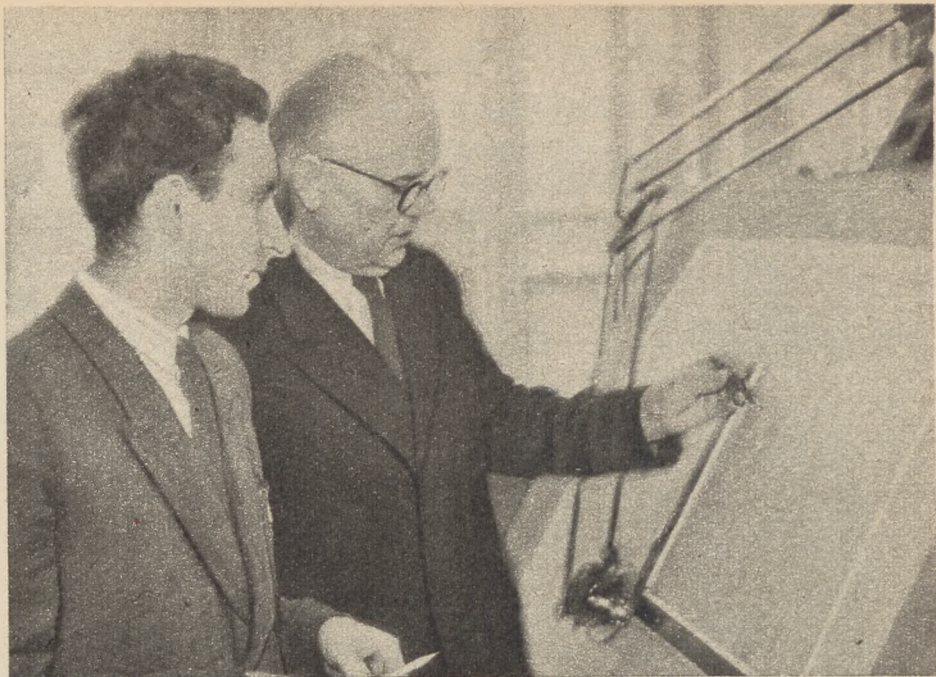
Po to, żeby powstał siewnik — mnóstwo zakładów przemysłowych z terenu całego kraju, w tym kilka hut, kilkanaście tartaków i fabryk drzewnych, wiele zakładów metalowych, elektrotechnicznych, fabryk farb i lakierów — nadsyła do Brzegu swe półfabrykaty.

Sztab specjalistów Centralnego Biura Konstrukcyjnego w Poznaniu opracowywał przez długie miesiące rysunki techniczne. Zbiór tych rysunków, tak zwana specyfikacja — to gruba kilkudziesięciostronicowa książka z rysunkami 200 metalowych części, z jakich składa się siewnik. Podana jest przy tym techniczna nazwa części, materiał, z jakiego należy ją wykonać, jej ciężar oraz ilość przypadająca na 1 maszynę. Dopiero na podstawie tych rysunków, w biurze technicznym fabryki opracowuje się tak zwane karty główne i karty robocze, które trafiają do rąk robotnika, na odlewnię, na oddział mechaniczny, do kuźni, na stolarnię i montownię. Na tym ostatnim oddziale przy zastosowaniu monta-

żu potokowego niezgrabny początkowo szkielec przekształca się w piękny, isnący świeżą zielenią, gotowy siewnik. W oparciu o taką technologię i organizację produkcji możemy seryjnie wytwarzać coraz więcej wysoko-sprawnych mocnych maszyn rolniczych, których ciągle jednak mamy jeszcze za mało.

Główny inżynier fabryki, Wacław Partyka, to wielki specjalista. 30 lat przepracował w tej dziedzinie, pamięta dobrze przedwojenne czasy, kiedy to maszyny rolnicze wykonywało się — jak to określił — „systemem majsterkowiskim“. Nie było żadnych dokumentacji technicznych ani kart roboczych. Kowale w kuźni kuli części „na oko“, stolarze również „na oko“ przykrawali deski, a lepsi lub gorsi „majsterkowicie“ sklecali to wszystko do kupy. Nic dziwnego, że przy takim sposobie produkcji maszyn rolniczych było mało, a i te nierzadko były drogie i kiepskie.

Nieustannie wzrasta produkcja i rozszerza się asortyment wytwarzanych w Brzegu maszyn, a równocześnie fabryka przekształca się w wielkie nowoczesne zakłady — aby jak najlepiej służyć naszemu rolnictwu.



Karta robocza musi być przygotowana z precyzyjną dokładnością. Cennymi radami służy młodym technikom doświadczony fachowiec, główny inżynier Partyka.

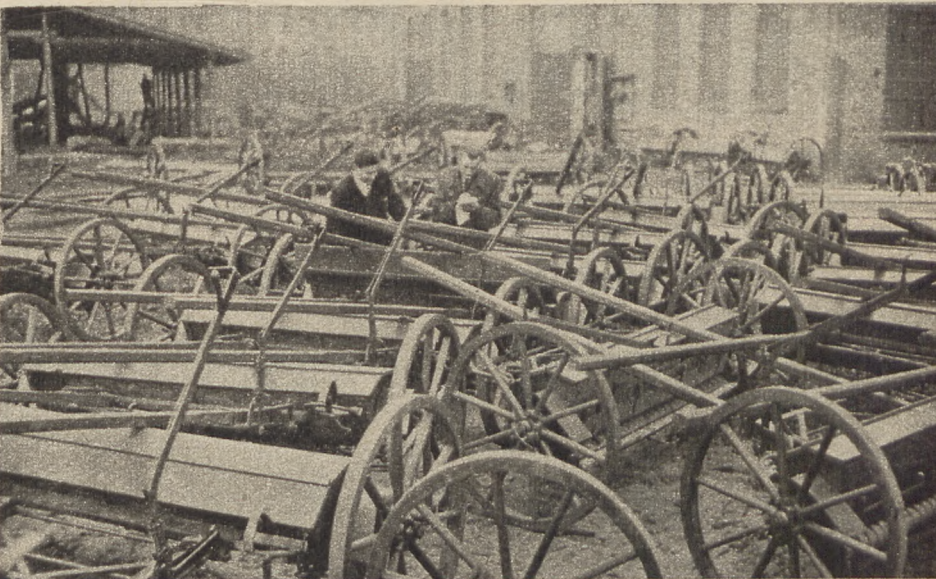
Zdjęcia: Z. MAŁEK



Montaż siewników w fabryce w Brzegu odbywa się systemem potokowym.

Zanim ugniatacze podglebia wyruszą z fabryki na wieś — trzeba każdy z nich dobrze sprawdzić. Bądźmy spokojni: monter Szklarski nie wypuści żadnego braku.

Nieprzerwanym strumieniem płyną z fabryki na wieś transporty siewników — by ruszyć na pola spółdzielni produkcyjnych i gospodarstw indywidualnych.



Te „ażurowe“ maszyny — to siekacze do buraków. Przydadzą się bardzo na wsi, zwłaszcza w tych gospodarstwach, które chcą jak najszybciej rozwinąć hodowlę.



Gawędy starego komedianta

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

JAK W SWAWOLNYM OLUTKU BUDZIŁ SIĘ BAKCYL TEATRU

NIEPISANE prawo zwyczajowe wyraźnie żądało, aby każdy jako tako szanujący się kronikarz rozpoczynał swoją pracę od efektownie skreślonej biografii. Idąc ich śladem melduję, że ujrzałem światło dzienne w cudny, sierpniowy, słoneczny poranek w sławnym grodzie Lublinie. Było to w roku pańskim... dawno... dawno, o, tak bardzo dawno, że aż wstyd o tym wspominać i jedynie chyba fakt, że działo się to jednak już po epoce upadku Napoleona, ośmiela mnie do przyznania się, że ten znamienity w dziejach ludzkości fakt zaistniał w roku 1877.

Zaczynam nabierać przekonania, że data przyjscia na ziemski padół, ów upalny, rozsloneczniony, sierpniowy poranek — zabarwił mego ducha optymizmem, wiarą w człowieka i głębokim odczuciem tego, co byśmy nazwali radością życia. I gdybym nie bał się, że mogę być posadzony o grubą zarozumiałość — zaryzykowałbym twierdzenie, że w małym Olutku (tym zdrobnieniem nazywała mnie zawsze kochana matka), że w tym puciołowatym, grubasnym, swawolnym kandydacie na człowieczka można by znaleźć niejaki zaszczytne pokrewieństwo z imię panem Colas Breugnon...

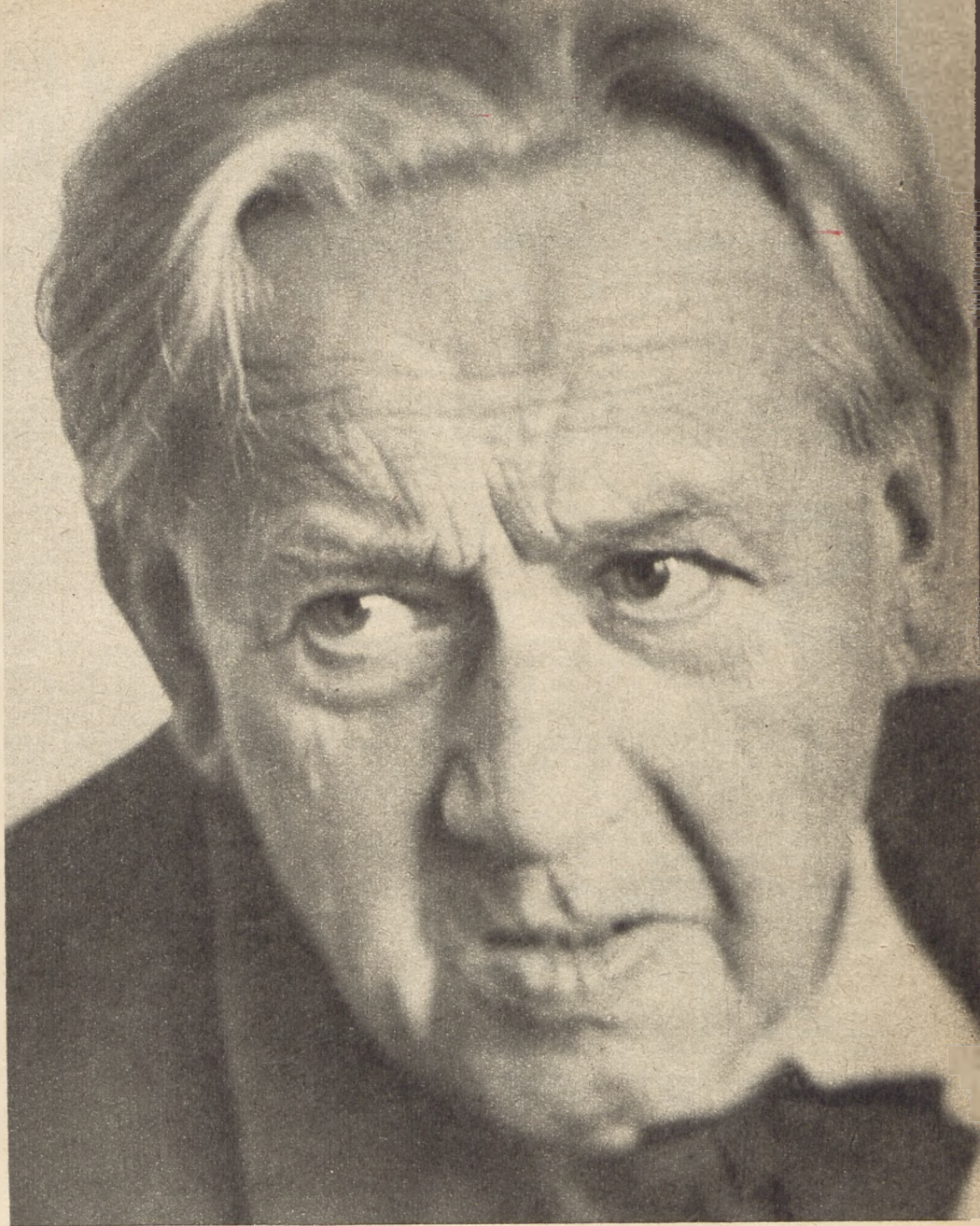
Ojca straciłem bardzo wcześniej i wzrastałem pod okiem kochanej matki, niewiaśty inteligentnej, o wyraźnie postępowych zapatrywaniach, ale aż do bałwochwalstwa rozkochanej i całkowicie zaślepionej w swoim jedynaku. Ród matki mojej wywodził się z prawników, a ród ojca z pedagogów; i mogę twierdzić, że dość wyraźnie odzywająca się we mnie żyłka belferska została mi ofiarowana przez moich protoplastów po mieczu jako jedyny spadek.

W domu naszym nie było nędzy, ale też bardzo wiece brakowało do przepychu. Matka po śmierci ojca ciężko pracowała wydając obiady i utrzymując na stacji kilkoro dalekich moich kuzynów ze sfery ziemiańskiej, rozwijających swoje umysły w kilku uczelniach lubelskich. Matka moja była osobą wysoce towarzyską (wzięłam to po niej w cennym spadku), pięknie grała na fortepianie i w skromnym domu naszym bywało sporo miejscowej inteligencji na tzw. herbatkach czy innych pogawędkach. Wśród nich odznaczał się inteligencją, błyskotliwym umysłem, dowcipem i niezwykłą urdą młody księżulo, wikariusz katedralny, ksiądz K.; otóż kiedyś w rozmowie z tym kapitanem padł złożony i całkowicie niewinny z pozoru, a jakże brzemienny w skutki projekt, aby Olutek chciał ku chwale bożej służyć do mszy świętej w tejże właśnie pięknej katedrze lubelskiej. Projekt formalnie ołsnął i zachwycił moją osobę: świadomość, że w śnieżnobiałej komży na oczach tłumu wiernych będę z godnością i namaszczeniem pobrzękiwał dumnie trzymanym w rękę dzwonkiem i w odpowiednich momentach wygłaszał niezrozumiałe zresztą dla mnie

(a myślę, że i dla reszty wiernych) liturgiczne zawołania w języku łacińskim. napęliła mnie nieopisaną dumą i bezgranicznym szczęściem. Być wyróżnionym, działać na oczach zgromadzonego tłumu, ponosić pełną odpowiedzialność za szereg wykonywanych czynności i sugestywnie z wyrazem głębokiej pobożności dobitnie wypowiadać niezrozumiałe wyrazy, czyli — mówiąc inaczej — żyć innym, niecodziennym życiem i wywierać, choćby tylko pośrednio, wpływ na nastrój zebranych — to najwyraźniej znaczyło być aktorem, udawać, grać. Nowa rola, w jakiej się znalazłem, tak dalece odpowiadała moim tajonym tęsknotom, tak mnie pociągała, że kunszt służenia do mszy doprowadziłem do perfekcji i doszedłem do niebywałych, wprost nienotowanych w kronikach katedry rezultatów: mianowicie potrafiłem dziennie „odwalić“ pięć, a nieraz nawet sześć nabożeństw.

Szczytem zaś i kulminacją mojego okresu w służbie bożej była uroczysta procesja w dniu Bożego Ciała, kiedy w białej komży i czerwonej pelerynce dobiegałem niebывałego szczytu i na czele procesji niosłem przez całe lubelskie Krakowskie Przedmieście mocno przyciężkawy krzyż. Duma moja miała zresztą bardzo brzydkie lcechy: ilekroć spotykałem w szpalerze stojących po obu stronach ulicy ludzi moich znajomych, a zwłaszcza moich rówieśników (spoglądających zresztą na mnie z wyrazem nieskrywanej zazdrości), wyłaziło ze mnie, rosło i ogarniało mnie całego niezdrowe poczucie całkowitej wyższości. Jakiś zły głos szeptał mi: patrzcie, oto jaki jestem wielki, jak wyrastam ponad was wszystkich i jak ja, tylko ja, jeden ja potrafię dojść do tak wybitnego i zaszczytnego stanowiska. I to był pierwszy, jeszcze mały, niekażliwy i nie bardzo może zaraźliwy bakcyl teatru.

Z biegiem dni rozszerzyłem kult służby bożej i z katedry przeniósłem go do domu. Mianowicie urządziłem w moim pokoiku na półeczkę wspaniałe ołtarzyk z pięknym obrazem Matki Boskiej Gidel-skiej, ozdobiłem go bibułkowymi kwiatami i kilkoma woskowymi świeczkami, a że rzecz się działa w maju, postanowiłem codziennie przed wieczorem organizować uroczyste nieszpory majowe, różniące się jednak zasadniczo od odprawianych w sąsiadującym z naszym domem kościele Panien Wizytek tym, że moje nabożeństwa urozmaicone były kazaniami, które stanowiły największe moje zainteresowanie i sprawiały mi największą radość. (I tu właśnie polknąłem drugiego, już znacznie groźniejszego, bakcyla teatru). Tłumy wiernych zdobyłem bez kłopotu: pięćdziesiąt moich kuzynów (trzy niewiasty i dwóch chłopów) chętnie na klęczkach uczestniczyło w naszych majowych nabożeństwach. Tematy do kazań brałem zawsze nie z Pisma Świętego, ale wyłącznie z potocznych spraw naszego żywota, jako to: przeciążenie nauką, niesprawiedliwość nauczycieli, przykrość rannego wstawa-



nia itp. bólaczki naszego żywota. Kazania te improwizowałem, wybraawszy sobie tylko odpowiedni temat i dążąc za wszelką cenę do wywołania wśród wiernych głębokiego rozczulenia. I rzeczywiście, kuzyni moi niejednokrotnie klęcząc bili się w piersi, głośno wzdychali, a niewiasty tu i ówdzie nawet popłakiwały. Czy był to tylko tendencyjny rewersans w moją stronę, czy może rzeczywiście potrafiłem ich wzruszyć, tego niestety dziś z perspektywy 70 lat nie potrafię odcyfrować...

Następny moment, który mam prawo uważać za brzemienny w skutki, nieopatrzne polknięcie niebezpiecznego bakcyla teatru, miał miejsce w trzy lata potem, już na terenie Warszawy. Ponieważ dyrektorem lubelskiego gimnazjum był znany polakożerca, którego osoba i brutalne praktyki odstraszały wszystkich rodziców z ich potomstwem, więc i moja matka, ulegając temu lękowi, postanowiła — chcąc uchronić Olutka od poważnych trudności, a może i wręcz katastrofy, jakiej niechybnie uległaby w lubelskim gimnazjum — przenieść się do Warszawy i zamieszkać u swego brata, jednego z najbardziej renomowanych adwokatów do spraw rozwodowych. W ten sposób więc terenem, na którym miał się odbywać miśterny proces meblowania mojej lepetyny, było Czwarte Męskie Filologiczne Gimnazjum, mieszczące się na rogu Alei Ujazdowskich i Pl. Trzech Krzyży, tam właśnie, gdzie później mieściło się gimnazjum im. Królowej Jadwigi.

Ponieważ każdy zawodowy kronikarz obowiązany jest do bezwzględnej szczerości, chcąc więc uchwycić za takiego właśnie, muszę stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że wyżej wzmiankowany proces meblowania mojej głowy napotykał poważne trudności i dawał, powiedzmy szczerze, dość nikłe rezultaty. Otóż tu właśnie, kiedy byłem uczniem drugiej klasy — zdradzającym wyrażną łatwość do języków, a całkowitą tępotę do przedmiotów matematycz-

nych — zadano nam na lekcji języka rosyjskiego jedną ze świetnych bajek Kryłowa pt. „Żaba i wół“. Należało nauczyć się tekstu na pamięć i „dobrze“ go wyrecytować. W domu, przy odrabianiu lekcji uważałem, że skoro mam prowadzić dialog dwóch mocno różniących się istot, obowiązkiem moim jest, mówiąc tekst żaby, naśladować głos człowieka mającego w sobie coś wspólnego ze skrzekliwym sposobem dźwiękowości starej ropuchy: kiedy zaś reprezentowałem wołu, powinienem był, moim zdaniem, mówić tak, jakby to robił ciężki, mocny, starszy pan. Wyrwany na lekcji, nie tylko z zupełnym spokojem i przekonaniem o całkowitej słuszności moich metod pracy, ale z pełnym zadowoleniem możliwością popisania się i wywołania śmiechu wśród moich słuchaczy, z całą plastyką i możliwie największą sugestywnością „wyrzeźbiłem“ ten dialog, osiągając istotnie pełne powodzenie u mych kolegów, którzy wprost ryczeli ze śmiechu, i — jak myślałem — co najmniej najwyższe zadowolenie u pedagoga. Skończywszy bajkę na pożegnanie, zerknąłem w kierunku mojego belfra i ku najwyższemu mojemu zdziwieniu ujrzałem z lekka tatarską jego fizionomię pełną wyrazu daleko idącego niezadowolenia i drżącą ze zdenerwowania ręką, która sięgnawszy po pióro, z całym rozmachem wpisała mi w dzienniku pałkę. Po czym dostojny pedagog wygłosił lapidarną sentencję, z którą do dziś dnia nie mogę się zgodzić i którą uważam za całkowity nonsens. Powiedział mianowicie: „Pamiętaj, Zelwerowicz, że szkoła, to nie teatr“.

I dziś z perspektywy 65 lat w najgłębszym moim przekonaniu mógłbym odpowiedzieć dostojnemu pedagogowi: „Mój łaskawco, szkoła jest akurat na tyle teatrem, na ile teatr jest szkołą!“ To moje sformułowanie do dziś dnia jest naczelną tezą i podstawową cechą tego cudownego i tak mało rozpracowanego problemu, jakim jest w zasadzie teatr, jego cele i zadania...

PRZEDSIĘBIORCZY

Napisał: ROMAN SZYDŁOWSKI

Rysował: ALEKSANDER KOBZDEJ

PAN LIU

SZANGHAJ jest największym miastem Azji. Ogromne domy, wspaniałe sklepy przy ulicy Nankińskiej i Alei Marszałka Joffre'a zwanej obecnie ulicą Hunańską, asfaltowe jezdnie, ożywiony ruch samochodów, rikszy i pieszych, wspaniałe domy towarowe — to wszystko robi niezapomniane wrażenie. W dawnych dzielnicach europejskich mieszkają dziś prawi właściciele tych domów — chińscy robotnicy i inteligenci. Bogactwo sklepów i barwność reklam jest znacznie większa niż w innych miastach tego kraju. Ruch, hałas, krzyk. Obok bogactwa można jeszcze zobaczyć w Szanghaju nędzę starych Chin, wypieraną stopniowo i konsekwentnie przez ludową rewolucję. Jeszcze tysiące robotników mieszka w lepiankach i na dżonkach, jeszcze ciężko jest wielu z nich, ale śmierć głodowa należy już do przeszłości. A to w Szanghaju znaczy bardzo wiele...

Nazywają Szanghaj stolicą chińskiego kapitału. Nie znaczy to, aby nie było tu ogromnych upaństwowionych fabryk, wielkiego budownictwa socjalnego i kierowniczej klasy robotniczej, której władza wpływa w decydujący sposób na rozwój nowego Szanghaju. Nigdzie jednak chyba w Chinach nie pozostało tyle inicjatywy prywatnej, nigdzie nie ma w tym kraju tylu znamion starego ustroju, nigdzie też nie widać tak wyraźnie, na czym polega koncepcja szerokiego Frontu Narodowego w Chinach, w którym mieści się narodowa burżuazja.

Początkowo wydaje nam się to wszystko dziwne i niezrozumiałe. Zastanawiamy się nad tym, kto kupuje drogie materiały, przepiękne jedwabie i luksusowe obuwie, którego pełno jest w ogromnych sklepach, kto przychodzi do nocnych lokali, kto wydaje pieniądze w luksusowych restauracjach, kto mieszka w wielopiętrowych hotelach, poza cudzoziemcami. Przecież wiemy już, że ludzie pracy chodzą w Chinach przeważnie w jednolitych granatowych ubraniach (mężczyźni i kobiety), nie uczęszczają do lokali dancingo-

wych i jadają dość skromnie w swych domach prywatnych lub w stołówkach. Próbujemy rozgryźć ten problem i oto przychodzi nam z pomocą rozmowa z przedsiębiorczym panem Liu.

* * *

Hotel Cathway jest chyba najwspanialszym, jaki widziałem w Chinach. Czternastopiętrowy gmach z szybokobieznymi windami, wspaniałą restauracją i tarasem na najwyższym piętrze, idealną obsługą i znakomitą europejską kuchnią, cieszy się od dziesięcioleci zasłużoną sławą. W pokoju znajduję poza „normalnymi” chińskimi cudami w rodzaju wszystkich udogodnień, jakie podróży może sobie tylko wyobrazić, coś nowego. Na stole leży mały zeszytyk z karnetami, na których subtelny rysownik przedstawił czynności otrzymywane bezpłatnie za okazaniem tej karteczki. A więc jest kuponik dla fryzjera, przedstawiający jego omocia z namydloną twarzą, poddającego się jego zręcznym zabiegom. Jest karteczka z ślicznie wyrzutowanymi butami, wyczyszczonymi „na glanc”, którą można porozumieć się bez używania jakiegokolwiek języka z chińskim służącym, idealnie wykonującym tę czynność. Jest ślicznie wyprana bielizna i karteczka z wyprasowaną koszulą — jednym słowem to wszystko, nad czym trzeba by się długo głowić lub szukać tłumacza, aby pomógł załatwić.

Biorę książeczkę i zjeżdżam windą do fryzjera. Tempo i precyzja golenia nie przypominają niczym naszych pracowni fryzjerskich, które przecież nie należą wcale do najgorszych. Po goleniu i czesaniu zaczynają się najprzeróżniejsze zabiegi masażowo-kosmetyczne przy użyciu różnych rodzajów kremów, wód kolońskich, pudrów itd. Jeszcze raz podziwiać trzeba złote ręce chińskiego rzemieślnika. W czasie tych skomplikowanych zabiegów — jeszcze jedna przyjemna niespodzianka. Oto słychać dziwnie znajome dźwięki. Czyżby mnie słuch nie mylił? Nie. To rzeczywiście „Mazowsze” śpiewa krakowiaka „Pod lasem, pod borem”. Nie wiem, czy to chińska uprzejmość doprowadzona do perfekcji, czy też po prostu zbieg okoliczności.

W sali jadalnej czeka już na mnie pan Liu. Klimat hotelu, wspaniałe zastawiony stół i świetna kolacja stwarzają właściwą oprawę dla naszej rozmowy. Pan Liu jest człowiekiem średniego wzrostu, o bystrych, a nawet szczególnie sprytnych oczach. Nosi nieskazitelnie skrojone ubranie z angielskiej wełny i piękny jedwabny krawat w dystygowany, spokojny wzór.

Kim jest pan Liu? Jest on przewodniczącym rady nadzorczej wielkiej spółki akcyjnej, która ma dwie duże fabryki tekstylne w Szanghaju i cztery gdzie indziej. Wywiązuje się między nami żywa rozmowa. Prowadzimy ją częściowo przez tłumacza, częściowo po angielsku, gdyż pan Liu doskonale zna ten język.

— Czy jest pan zadowolony z obecnego stanu rzeczy? — zadaje wstępne pytanie.

— Jeszcze nigdy mi się tak dobrze nie powodziło — odpowiada spokojnie i z głębokim przekonaniem chiński przedsiębiorca prywatny. Po pierwsze, nie mam dziś żadnych kłopotów. Dawniej bolała mnie głowa od rana do wieczora o zakup surowców. Ceny skakały w dół i w górę i rano nie wiedziałem, jak ukształtują się wieczorem. Bałagan ekonomiczny w Chinach Czang Kajsze strasznie utrudniał mi pracę. Tymczasem dziś rząd ludowy ustabilizował ceny, a jednocześnie na podstawie umowy zawartej z naszą spółką akcyjną (podobnie jak z wieloma innymi przedsiębiorstwami prywatnymi) dostarcza nam wszelkich potrzebnych surowców. Drugie moje zmart-

wienie też odpadło. Dawniej miałem moc kłopotów ze sprzedażą naszych wyrobów. To brak było odbiorców, to znowu ceny spadały poniżej kalkulacji, to wypłacalność klientów była zachwiana, względnie bankrutstwa narażały nas na poważne straty. Dziś państwo odbiera od nas całą produkcję, po z góry ustalonych cenach, umożliwiając nam planowy i z góry przewidywany tok pracy. A jak dobrze kształtują się teraz nasze stosunki z robotnikami. Dawniej mieliśmy strajki, walki, trudno było poradzić sobie z nimi. Dziś żyje doskonale z naszą radą zakładową i dbam tylko o to, aby realizować wszelkie zalecenia władzy ludowej w dziedzinie budownictwa socjalnego, higieny, bezpieczeństwa pracy, płac itd. I mogę pana zapewnić — mówi z dumą pan Liu — że w naszych fabrykach hotele robotnicze, urządzenia socjalne, wentylacja itp. przedstawiają się nawet lepiej niż w niejednej fabryce państwowej.

— Staram się wywdzięczyć władzy ludowej za doskonałe warunki, jakie nam stworzyła — mówi pan Liu. — W roku 1953 uruchomiłem nową wielką fabrykę, zbudowaną już w całości po wyzwoleniu. I niech pan nie myśli, że było to łatwe. Za dwa miliony dolarów, ułożone jeszcze przed wojną w zagranicznych bankach, sprowadziłem najnowocześniejsze maszyny. Ostatnim transportem przed wprowadzeniem embargo przyszła z Ameryki pierwsza część. Kiedy nie dało się sprowadzać stamtąd więcej, zakupiłem drugą część w Anglii. Trzecia część przyszła w roku 1953 ze Szwajcarii.

Pan Liu płaci bardzo pilnie i starannie podatki. Wynoszą one około 30 procent jego czystego dochodu. Za dobrą produkcję i budowę nowych obiektów może on otrzymać zniżkę, która wynosi w przemyśle tekstylnym do 10 procent, a w maszynowym nawet do 30 procent sumy podatkowej.

Pan Liu jest aktywnym działaczem społecznym. Bierze czynny udział w ruchu obrońców pokoju i był w roku 1952 na sesji Światowej Rady Pokoju w Wiedniu.

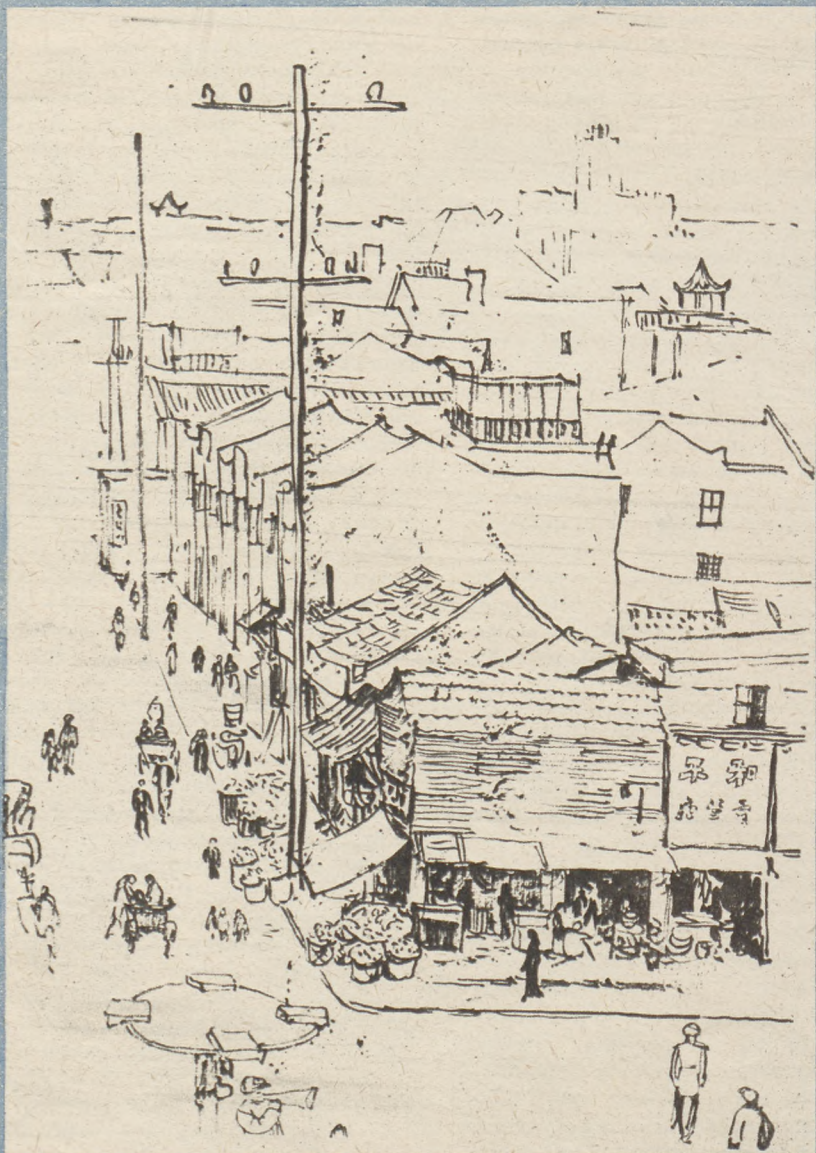
— Byłem po drodze w Moskwie i w Budapeszcie. Zależało mi, żeby nie udało mi się zwiedzić Warszawy. Ale mam nadzieję, że w przyszłości odwiedzę jeszcze waszą piękną stolicę, o której tyle czytałem i słyszałem — dodaje uprzejmie mój rozmówca.

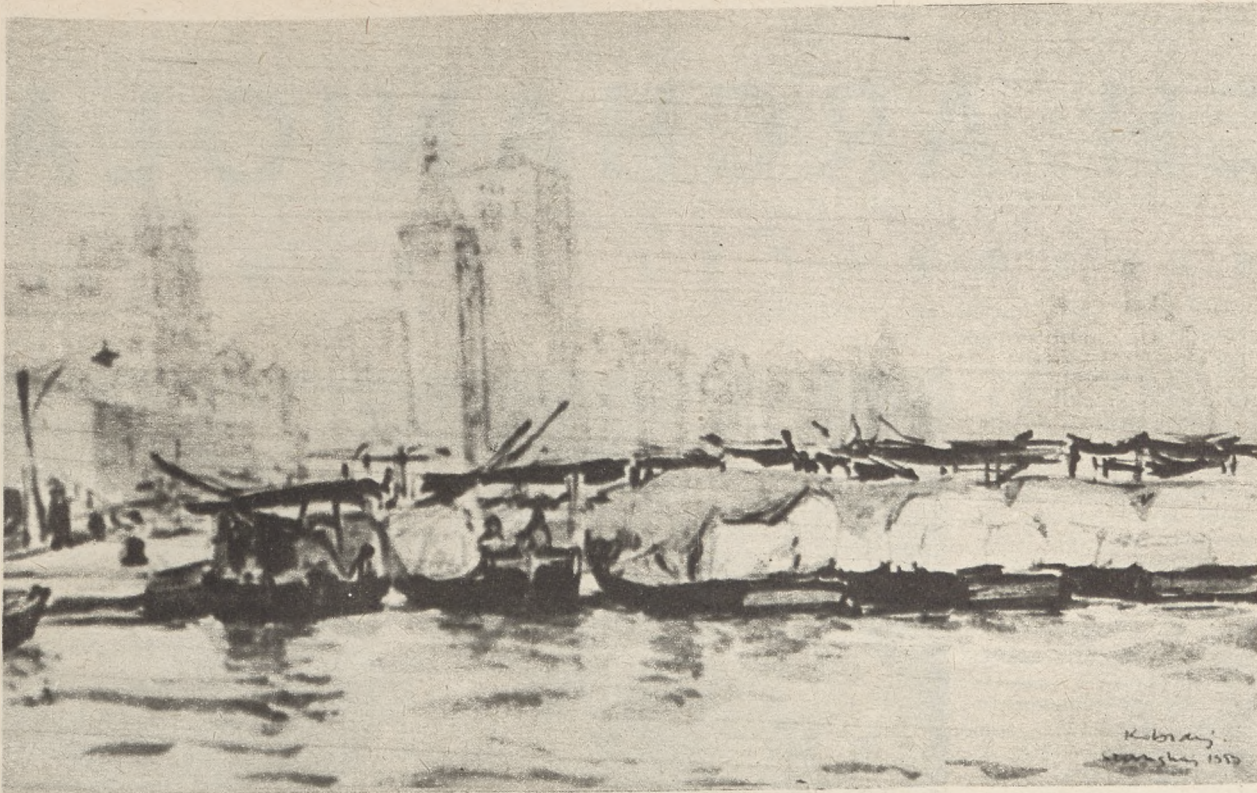
Pan Liu jest członkiem burżuazyjnej partii Odbudowy Ekonomicznej Kraju, której przedstawiciele zasiadają we wszystkich instytucjach parlamentarnych i w rządzie Chińskiej Republiki Ludowej.

— Odbywamy stale narady przedsiębiorców, których celem jest ulepszenie produkcji i rozbudowa naszego przemysłu, mamy giełdę i współpracujemy z Bankiem Państwowym oraz z bankiem państwowo-prywatnym, który powstał z połączenia kilku banków prywatnych i kapitału państwowego. Nasza spółka akcyjna złożyła niedawno wniosek o przekształcenie przedsiębiorstwa w państwowo-prywatne. Decyzja zależy w tej sprawie od rządu.

Ciekawe są też sprawy rodzinne pana Liu. Zapewnia on nas, że wbrew temu, co sądzi się na ogół o życiu prywatnym chińskich kapitalistów, ma tylko jedną żonę, z którą żyje w bardzo szczęśliwym i przykładowym małżeństwie.

— Nie chodzę do nocnych lokali, nie tracę pieniędzy w luksusowych restauracjach, gdyż najlepiej czuję się w domu. Moją największą radością jest praca w fabryce i jej poświęcam się bez reszty. Po pracy wypoczywam w moim pięknym mieszkaniu, uprawiam mój ogród i to daje mi wiele radości. Mam też dużo dzieci z dziećmi. Jest ich dziesięć (sześć córek i czterech synów). Wszystkie studiuja. Córki powychodziły za mąż za inżynierów, lekarzy i jestem spokojny o ich przyszłość. Dwie skończyły studia buchalteryjne i już pracują, jedna studiuje medycynę, jedna literaturę, jedna biologię. Synowie są jeszcze w szkole średniej. Najstarszy kończy w tym roku i pragnie studiować budowę okrętów na politechnice. Państwo ludowe zapewnia moim dzieciom bezpłatną naukę, mieszkanie i wyżywienie w internatach i domach akademickich. Z wyjątkiem najmłodszych, wszystkie moje dzieci mieszkają, chińskim zwyczajem, przy uczelniach, w których studiuja. Mam bardzo dobre dzieci — mówi pan Liu. — Nie zerwały one ze mną stosunków — jak to się często dzisiaj dzieje w rodzinach burżuazyjnych. Choć nie zgadzają się z istnieniem prywatnych przedsiębiorstw i wychowane są w duchu komunistycznym, to jednak kochają mnie i moją żonę, jak przystało kochać rodziców.





Na zakończenie tej idyllicznej i trochę dziwnej dla mnie rozmowy, zadaje jedno niedyskretne i drażliwe pytanie.

— Jak wyobraża pan sobie perspektywę pańskiej fabryki i swoją własną w warunkach przebudowy społecznej, która w Chinach następuje i musi nieuniknie nie doprowadzić do likwidacji kapitalizmu?

Pan Liu ma i na to pytanie odpowiedź.

— Sądę, że państwo ludowe oceni moją uczciwą i lojalną pracę. Mam przecież wielkie doświadczenie. Pracuję w swoim zawodzie od 30 lat. Wywiązuję się bardzo sumiennie ze swoich obowiązków wobec państwa i mam nadzieję, że po upaństwowieniu moich fabryk, które na pewno kiedyś nastąpi, będę mógł pracować jako urzędnik, czy kierownik jakiejś fabryki tekstylnej. O byt moich dzieci jestem zupełnie spokojny. Każde z nich otrzyma przecież wykształcenie, pracy w Chinach nie brak... Jedno mnie tylko niepokoi. Jak długo potrwa jeszcze obecny stan rzeczy i jak odbędzie się przejście od kapitalizmu do socjalistycznej gospodarki i w jaki sposób znajdę sobie miejsce w tych nowych warunkach...

* * *

Na to pytanie nie mógł znaleźć odpowiedzi pan Liu. Dał mi ją dopiero redaktor naczelny gazety partyjnej w Szanghaju w czasie naszej długiej, nocnej rozmowy.

Początkowo rozmowa toczyła się wokół spraw redakcyjnych. Ilek podobnych problemów, kłopotów, trudności... Rozumieliśmy się w mig. Ten działacz partyjny, który ma za sobą wiele lat walk partyzanckich i udział w wielkiej kampanii przeprowadzania reformy rolnej od Północnego Wschodu Chin ku Szanghajowi, walczy dziś myślą i piórem o nasze wspólne cele. Zwiędzam drukarnię gazety (na parterze i w podziemiach gmachu redakcyjnego), podziwiam zręczność i wprawę chińskich cecerów, którzy (ręcznie) potrafią złożyć cztery kolumny gazety w czasie nie dłuższym, niż to się dzieje u nas na linotypach. Jeśli wziąć pod uwagę ilość chińskich znaków (język literacki 8 — 10 tysięcy znaków; język potoczny około 2 i pół tysiąca znaków) — można zrozumieć, w jak trudnych warunkach pracują chińscy drukarze. Towarzysze pokazują mi pomysły racjonalizatorskie, ułatwiające wydobywanie poszczególnych hieroglifów z kaski, ułożonych w kilku warstwach. Mówią o pracach nad skonstruowaniem chiń-

skiego linotypu. Na razie mają już maszyny do pisania, choć i to nie było łatwe. Myślę nie bez współczucia o chińskich korektorach. A ile możliwości błędów... przy takiej ilości znaków pisarskich. Mimo to w drukarni panuje spokój i cisza, większe niż u nas. Praca idzie sprawnie i składnie, nie widać nawet zewnątrz żadnego pośpiechu. Typowa dla Chińczyków precyzja, spokój i opanowanie.

Wracamy do gabinetu redaktora. I oto zaczyna się najciekawsza część naszej rozmowy. Pod świeżym wrażeniem zwierzeń pana Liu, pytam towarzysza o sprawy przedsiębiorczości prywatnej, kapitalizmu, burżuazji w Chinach Ludowych.

— Wiecie towarzyszu — mówi redaktor — jest rzeczą charakterystyczną, że goście z Europy nie mogą nigdy początkowo zrozumieć naszej polityki w stosunku do burżuazji narodowej. Natomiast dla towarzyszy z Indii i krajów południowo-wschodniej Azji te sprawy są zupełnie naturalne i jasne. Nie zdajecie sobie bowiem w dostatecznej mierze sprawy ze specyfiki rozwoju ekonomicznego Chin i innych krajów tej części świata. Kraj nasz musi w krótkim czasie przezwyciężyć wiekowe zacofanie. Dlatego pragniemy uruchomić wszystkie możliwe środki, jakie sprzyjają osiągnięciu naszego celu.

Władza ludowa inwestuje dziś głównie w dziedzinie przemysłu ciężkiego, transportu i komunikacji. Skupiliśmy w naszych rękach handel hurtowy i mamy, praktycznie biorąc, wpływ na najważniejsze surowce i handel zagraniczny. Trzymamy kluczowe pozycje naszej gospodarki. A jesteśmy przecież dopiero w pierwszym roku realizacji wielkiego pięcioletniego planu uprzemysłowienia kraju, pierwszej chińskiej pięcioletki. Nasze państwo nie ma w tej chwili ani dość ludzi, ani dość kapitałów, by jednocześnie upaństwowić i prowadzić wszystkie przedsiębiorstwa.

Podobnie w dziedzinie handlu. Organizujemy wielkie domy towarowe, ale nie możemy podjąć jeszcze w tej chwili zadań stojących przed nami w dziedzinie upaństwowienia handlu detalicznego, np. kiosków, tak bardzo popularnych w Chinach. W związku z tym nie wolno nam w sposób awanturniczy likwidować prywatnej przedsiębiorczości, jak długo jest ona nam potrzebna i jak długo spełnia uczciwie swe obowiązki. Trzeba też pamiętać, że postawa narodowej burżuazji

w Chinach jest nieco inna, aniżeli postawa burżuazji w krajach kapitalistycznych Europy. Po likwidacji tak zwanego kapitału kompradorskiego i upaństwowieniu fabryk należących do okupantów japońskich i zdrajców narodu, pozostała w Chinach burżuazja narodowa, z którą razeni walczyliśmy przeciw okupantowi, która nieraz stała po naszej stronie w okresie walk z Czang Kai-szekiem, która doznała niejednej straty i porażki ze strony imperializmu amerykańskiego wskutek jego ekspansji w Chinach. Jest to wciąż jeszcze nasz sojusznik i nie ma powodów, aby z niego w tej chwili rezygnować.

— Myślimy też o tym — mówi redaktor szanghajskiej gazety — jak zabezpieczyć się przed nadmiernym wzrostem kapitałów prywatnych i przed nadużyciami przedsiębiorców. Są oni pod czujną kontrolą robotników. Patrzą im na ręce rady zakładowe, organizacje partyjne. Kontrolujemy, czy nie naruszają umów z państwem i nie sprzedają swych wyrobów na czarny rynek, nie spekulują surowcami, zakupywanymi od państwa, czy budują instytucje socjalne i czy płace robotnicze kształtują się na poziomie ustalonym przez państwo. Wszelkie nadużycia karane są bardzo surowo. Publiczne procesy, oprowadzanie przestępców przez miasto, surowe wyroki — to wszystko odstrasza kapitalistów przed nadużyciami i zniechęca ich do oszukiwania władzy ludowej.

— Umiemy też wpływać na ograniczenie nadmiernych zysków kapitalistów. Obowiązuje u nas tak zwana teoria czterech koni. Dochód kapitaliści dzieli się na cztery części. Jedną z nich stanowią podatki. Drugą wydatki na inwestycje, amortyzacje i obowiązkową rozbudowę przedsiębiorstwa, w wysokości ustalonej przez państwo. Trzecia część — to wydatki na cele socjalne, higienę, bezpieczeństwo pracy, hotele robotnicze itp. Dopiero czwarta część stanowi czysty dochód kapitalisty, do którego ma on ustawowe prawo. Ale i te pieniądze powinien przedsiębiorca zużyć w celowy i pożyteczny sposób. Prowadziliśmy w roku 1952 ostrą kampanię przeciwko marnotrawstwu i rozrzutności kapitalistów. Stworzyliśmy atmosferę presji moralnej przeciw nadmiernemu hulactwu i przepuszczaniu pieniędzy przez burżuazję. I rzeczywiście dziś znacznie rzadziej spotkać można wypadki trwonienia pieniędzy przez nich, niż to było dawniej. Robotnicy i organizacje partyjne umieją im zresztą nieraz wyperswadować tego rodzaju tryb życia.

Zaczynam powoli rozumieć, dlaczego pan Liu jeszcze prosperuje i dlaczego wydaje tyle pieniędzy na inwestycje socjalne, rozbudowę fabryki, jak również dlaczego nie chodzi do lokali dancinowych i wykłuwanych restauracji. Nie rozumiem jednak nadal w pełni, czy nie ma w Chinach niebezpieczeństwa nadmiernego rozrostu kapitalizmu.

— Dokumenty partyjne mówią — wyjaśnia redaktor — że w perspektywie trzech do pięciu lat przedsiębiorstwa prywatne przemysłu ciężkiego i średniego będą stopniowo upaństwowiane. W miarę możliwości będziemy też upaństwowiali większe przedsiębiorstwa przemysłu lekkiego. Droga do tego celu jest stworzenie w Chinach przedsiębiorstw mieszanych, państwowo-prywatnych. W każdym z nich państwo mianuje swego przedstawiciela. Ma on poważny wpływ na pracę całego przedsiębiorstwa. Jednocześnie zaś uczy się poznawać jego specyfikę i kierować nim. Są też wypadki, w których kapitalista pobiera tylko zyski, a kieruje fabryką już tylko dyrektor mianowany przez państwo.

— A co stanie się z panem Liu i jemu podobnymi?

— Budujemy przecież socjalizm. Jeżeli pan Liu będzie uczciwie pracował, znajdzie się dla niego miejsce i w socjalistycznych Chinach. Przecież kraj nasz jest ogromny, a ludzi wykwalifikowanych nie będziemy mieli nigdy za dużo...



UŚMIECH ARCHANIOŁA

ŚLADAMI ŚMIERDZĄCEJ SPRAWY (5)

15

KWIETNIA 1939 ROKU do pociągu berlińskiego, odchodzącego z dworca w Bukareszcie, doczepiono salonkę dla rumuńskiego ministra spraw zagranicznych — Grigore Gafencu. Pociąg pędził już przez terytorium państwa polskiego, kiedy tuż po północy doczepiono doń jeszcze jeden wagon salonowy — sanacyjnego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Dla Gafencu nie była to bynajmniej niespodzianka — ambasador królestwa Rumunii w Warszawie uprzedził go, iż Beck chciałby się z nim zobaczyć jeszcze przed berlińską wizytą. Pan Gafencu nie wykręcał się od rozmowy. Niezle scharakteryzował go wspomniany już dr Erich Kordt — ówczesny członek sekretariatu hitlerowskiego MSZ — kiedy pisał: „Gafencu i jego współpracownicy zjawili się w Berlinie w mundurach, które jakkolwiek ładniejsze w kolorach — były zupełnie naśladownictwem niemieckich. Smukły, postawny rumuński minister spraw zagranicznych nie wyglądał wcale gorzej niż później w dobrze skrojonym fraku, który przywdział przy dalszych wizytach w Anglii i Francji. Metamorfoza ubioru była znamieną dla postawy, jaką musiała przyjąć Rumunia.”

JAK MĘŻCZYŻNA Z MĘŻCZYŻNA

Nie wiemy, jaki strój przywdział Gafencu, aby przypodobać się Beckowi — ale jest faktem, że zaraz za Krakowem przeszedł przez chyboczący się pomost łączący oba wagony i przywitał się z Beckiem. Podróżni, czekający na małych stacyjkach na odjazd swych pociągów, nie wiedzieli, że za spuszczonej firanki mijającego ich w pędzie międzynarodowego ekspresu — dwaj politycy wymieniają swe doświadczenia ze współpracy z Hitlerem — że Beck, weteran wielu spotkań z samym Fuehrerem i jego kliką, błogosławi na drogę nowicjusza — Gafencu.

Rumun był ciekawy, co powie mu kierownik polskiej polityki zagranicznej. Píše on w swych pamiętnikach („Ostatnie dni Europy”): „Byłem szczęśliwy, że będę się mógł od samego Becka dowiedzieć, jakie idee go prowadziły i jakie nadzieje jeszcze mu pozostały”. Brzmiały mu jeszcze w uszach słowa Becka, wypowiedziane 2 marca 1939 roku podczas ich poprzedniego spotkania w Warszawie. Beck powiedział mu wtedy: „Moje zaufanie opiera się na gruntownym doświadczeniu. Od 1935 roku wszystkie zapewnienia, jakie dał mi Hitler, były słuszne i prawdziwe. Nigdy czyny nie zadyły im kłamu. Rozmawiałem z Hitlerem jak mężczyzna z mężczyzną, jak żołnierz z żołnierzem; zobowiązania, które wziął na siebie, zostały dotrzymane; do dziś nigdy mnie nie zawiódł”.

Pociąg pędził już przez śląską ziemię, rozdarta granicami — a w wagonie salonowym Gafencu nie mógł nie wspomnieć, że w dziesięć dni po tym votum zaufania, jakie rozmówca jego złożył w marcu Hitlerowi — na Zamku Hradczyńskim w Pradze zawisła flaga ze swastyką, a jeszcze w kilka dni później — Rzesza „objęła pieczę nad polityczną niezawisłością Słowacji” i „zastrzegła sobie prawo” do założenia urzędów wojskowych i garnizonów wzdłuż granicy Słowacji. Pan Beck opowiadał Gafencu o swych sukcesach, a w szczególności o brytyjskich gwarancjach dla Polski. Rzekł: „Historia z Pragą nie powtórzy się nigdy. Hitler teraz wie, z kim ma do czynienia!”

25 MINUT LOTU

Hitler wiedział istotnie, z kim ma do czynienia... Gafencu tak píše o przyjęciu go przez Fuehrera: „Hitler prosił mnie o zajęcie miejsca na sofie, a sam rozsiadł się w fotelu. Był gotów do wysłuchania mnie. Wiedziałem, że trzeba skwapliwie wykorzystać tę okazję: kiedy Fuehrer się rozgada, to niesposób mu przerwać”. Gafencu powtórzył więc Hitlerowi swą rozmowę z Beckiem i opowiedział o przyjaznych uczuciach Polski do Rzeszy. Wypalał też, jak to się Beck pewnie czuje... Musiało to niezawodnie uradować Wodza Tysiącletniej Rzeszy, gdyż aku-

rat w przeddzień rozmowy między panami ministrami w salonie — rozmawiali też ze sobą Goering i Mussolini. Goering powiedział (cytuje dokument norymberski): „W stosunku do Polski należy uważać postępy Niemiec w Czechosłowacji za korzystne dla Osi w wypadku, gdyby Polska miała kiedyś przyłączyć się do państw wrogich Osi. Niemcy będą mogły wtedy zaatakować ten kraj z dwóch flanków, a znajdują się tylko o 25 minut lotu od nowego polskiego centrum przemysłowego, które właśnie z uwagi na przygraniczne położenie innych polskich rejonów przemysłowych zostało przeniesione w głąb kraju, obecnie jednak siłą wydarzeń znowu znalazło się w bliskości granicy”.

Miał więc Hitler powody do radości — i tym czulej witał dobiegające go echa politycznej mądrości polskiego ministra spraw zagranicznych. Berlin witał zawsze z najwyższą sympatią wystąpienia Becka na tematy słowackie. Już 13 marca ambasador brytyjski w Berlinie, Henderson, depeszcował do wicehrabiego Halifaxa: „Ostatnie wydanie „Voelksischer Beobachter” wysuwa na plan pierwszy sprawozdanie z Warszawy, donoszące, że płk Beck przemawiając na Komisji Spraw Zagranicznych Senatu oświadczył, iż narodowe uczucia słowackiego ludu wzrosły tak silnie, że trzeba mu dać możność odegrania raczej czynnej niż biernej roli w polityce. Inne fragmenty z przemówień płk. Becka nie były cytowane”.

PIERWSI W BRATYSŁAWIE

Za słowami poszły czyny. Polska jako pierwsza uznała „państwo słowackie”. Donosił o tym z tryumfem faszystowski dziennik „Slovak”, którego redakcja, wyczuwając należycie polityczny klimat tej wiadomości, zamieściła tuż koło niej wielki portret Hitlera. Także i ambasador RP w Berlinie — Lipski, uważał (zupełnie słusznie) sanacyjną politykę wobec Słowacji za wielką zasługę dla... III Rzeszy. Powołał się on na to w rozmowie z Ribbentropem w dniu 21 marca. Lipski raportował (cytuje oficjalne wydawnictwo emigracyjnego MSZ „Stosunki polsko-niemieckie”, Paryż 1940 r.) Beckowi: „Przypomniałem pomoc, okazaną przez nas dla zapewnienia temu państwu (mowa o Słowacji — L. W.) niepodległości”.

Sanacyjna prasa powitała z radością utworzenie marionetkowego „państwa słowackiego”. „Na gruzach Czechosłowacji — pisał 16 marca „Ilustrowany Kurier Codzienny” — powstaje jako odrębne i niezależne państwo wyłącznie Słowacja. Naród polski wita ten fakt z żywą sympatią. Polityka polska może obserwować wypadki w Europie środkowej ze spokojem”.

Świadkiem wydarzeń w Słowacji był francuski dziennikarz Bertrand de Jouvenel. Świadectwo jego jest tym ciekawsze, że jako późniejszy zwolennik Petaina i w ogóle kolaboracji, nie może być posądzony o jakąś niechęć do hitleryzmu. Patrzy on na to widowisko raczej z pasją badacza i złośliwością cynika. Cytuje swą rozmowę z niemieckim oficerem, który oświadczył mu:



Za „zasługi” przy rozbiórce Czechosłowacji minister Beck otrzymał order Białego Orła. Jego prawdziwą „zasługą” jest oddanie hitlerowcom dogodnych baz do najazdu na Polskę. W 1939 r. dywizje hitlerowskiego generała Lista uderzyły na Polskę ze Słowacji

„Jak pan widzi, obecnie nasi obaj wschodni sąsiedzi, Polska i Węgry, mają z nami granicę na równinie i nie-ufortyfikowaną. Jest to dla nas znacznie przyjemniejsze, niż ta przekłeta czeska granica z jej górami i jej linią Maginota”. Dziennikarz stwierdza niesłychały — jak na połowę XX wieku — w Europie środkowej fakt, że „na czele państwa stoi wiejski proboszcz w sutannie i kapciach, o okragłej czasce, czarnym kapeluszu, włosach bardzo czarnych, bardzo twardych i bardzo krótkich — ksiądz Tiso”.

Nie mogę sobie odmówić zacytowania pięknej sceny z reportażu Bertrand de Jouvenel, która — przy błędnej ocenie pewnych posunięć, wynikającej z nieznamośności niektórych, znanych nam już dziś faktów — oddaje jednak istotę „sukcesu” polskiej dyplomacji w Słowacji.

KUCHARZOWI I NARODOWI

„Przybywam do hotelu Carlton. Jest to centrum życia w Bratysławie. Drzwi obrotowe nie zatrzymują się ani na chwilę. Niemieccy oficerowie wchodzą i wychodzą szybkim, pewnym siebie krokiem. W restauracji hotelowej, gdzie zbiera się śmietanka dobrego towarzystwa, mamy w skrócie przebieg ostatnich wydarzeń.

Tam oto siedzi wraz z żoną dawny burmistrz „z czeskich czasów”. Tęgi ten człowiek raczej zwisa niż siedzi. Od czasu do czasu jego żona — czuła i przezorna — prosi go, aby się rozchmurzył. Prostuje się więc, przeciera binokle, wbija widelec w jakąś potrawę, aby za chwilę znów go porzucić.

Na drugim krańcu sali znajduje się stół rządowy. Ksiądz Tiso zajada łapczywie i hałaśliwie, otoczony przez swych ministrów. Dyktuje coś młodemu człowiekowi, który stoi przed nim — ale że akurat kelner przyszedł po obiadunek, przeto wydaje się, iż czcigodny duchowny rozkazuje jednocześnie kucharzowi i narodowi.

Czyżby ironiczne spojrzenie wędruje od stołu dawnego burmistrza do stołu premiera. Jest to spojrzenie młodego człowieka o delikatnym i stanowczym profilu. Ten młody człowiek jest Niemcem. W Pradze, gdzie „pracował” uprzednio, zwano go „Archaniołem”. Patrząc nań przypominam sobie, że Achilles często ukrywał się wśród kobiet, a tak był smukły, że nie można go było od nich odróżnić. Jak opowiada Homer, rozpoznano go dopiero po spojrzeniu, jakie rzucił, kiedy pokazano mu miecz. „Archanioła” też można poznać po jego spojrzeniu. Oto niepodległość. Wiedział, co czynił.

Przy jeszcze innym stole mamy dziwną naradę. Zasiadli tam Węgrzy; siedzi tam też polski poseł w Bratysławie. O czym to rozprawiają? Że Węgry domagały się Bratysławę, że nie otrzymawszy jej nie chciały przynajmniej, aby wpadła w ręce Niemiec. Sprzymierzona z Węgrami Polska pośpieszyła się z uznaniem niepodległości słowackiej i w godzinę akredytowała posła przy rządzie Tiso. Niestety jednak — na próżno poseł się śpieszył, na próżno biegł — wojska niemieckie przybyły przed nim!

Do grupy tej przyłączyła się nowa osobistość. Jest to konsul generalny Włoch, człowiek wysokiej wartości. Mówią mu, że Włochy — przyjaciele Węgier, nie powinny być dopuścić, aby Niemcy się tu dostali. Włochy — rzecze on — nic nie wiedziały. On sam był akurat na urlopie podczas wydarzeń praskich.

W Poznaniu uczennicom gimnazjalnym kazano nosić transparenty domagające się dla Polski kolonii — właśnie wtedy, kiedy Hitler kończył ostatnie przygotowania do skolonizowania... naszego kraju. Elementy faszystowskie, na które stawiała sanacja, istotnie doszły do władzy w Słowacji, ale „wysiadły na przystanku Berlin”



Spojrzenie „Archaniola” zatrzymuje się na tym troj-
przymierzu — Węgrach, Polsce, Włochach — „zaporze
przed niemieckim ekspansjonizmem”. Uśmiecha się tylko
drwiąco. „Niech się wygadają” — myśli sobie...

„SERDECZNA SPRAWA” FUEHRERA

Miał słuszny powód do drwiącego uśmiechu podpa-
trzony przez francuskiego dziennikarza hitlerowski
agent. Wiedział on, iż przymierze polskiej sanacji z węg-
gierskimi feudałami dało bowiem żadną — jak twierdziła
com. Słowacja nie była bowiem żadną — jak twierdziła
propaganda księdza Tiso — „serdeczną sprawą” Hitle-
ra, ale po prostu bazą strategiczną przeciw obu „pomoc-
nikom” — polskiemu i węgierskiemu. Nie na darmo str-
ledzy zwa Słowację „lądowym Gibraltarem” — kto ją
zdobędzie, ten zdobędzie karpackie przełęcze i szlaki wio-
dące w dolinę Dunaju.

Sytuację polityczną, jaka wytworzyła się latem 1939
roku, przedstawił 15 sierpnia 1939 roku na łamach ty-
godnika „Sygnały” pewien młody dziennikarz (dziś —
ambasador PRL w Pradze) nazwiskiem Wiktor Grosz.
Pisał on:

„Do rozbijania Polski nie podobna przystępować nie
załatwiwszy się uprzednio z doskonale uzbrojoną Cze-
chosłowacją, tej ostatniej zaś trudno byłoby dać radę
w walce, nie otoczywszy jej uprzednio „Anschlusssem
Austrii”.

Rozwinąwszy ten łańcuch agresji hitlerowskiej przed
sobą, możemy zatrzymać się na tym jego ogniwie, przy
którym w tej chwili rozgrywa się walka o dzieje ludz-
kości. Wysłanie sprawy Gdańska dowodzi niezbicie
zamiarów Hitlera w najbliższej przyszłości. Gdańsk, to
mają być „polskie Sudety”. Gdańsk ma być pierwszym
etapem rozbijania Polski, niszczenia naszej niepodleg-
łości, podboju naszego kraju. Po złamaniu woli obrony
Polski, po uzyskaniu ustępstwa polskiego w sprawie
gdąskiej, Hitler wysunąłby natychmiast żądania dal-
sze (autostrada, Pomorze, Poznańskie, Śląsk), które mia-
łyby na celu zlikwidowanie Polski jako potęgi militarn-
nej, mogące w sposób zasadniczy przeszkodzić Hitlero-
wi w jego akcji przeciwko Francji i Anglii.

Przypuszczenie, że Hitler poprzestąpi na Gdańsku
i kontentował się jakąś
umową z Polską, która
miałaby mu zapewnić
neutralność, jest naiwne
i nieuzasadnione.

Podobnie za naiwne
wypadnie uznać mnie-
manie, że Hitler rozpe-
tał awanturę gdańską w
tym celu, aby tymcza-
sem uderzyć zupełnie
gdzie indziej, np. w Wę-
gry. Nie wykluczamy by-
najmniej możliwości je-
szcze jednego doda-
tka o w e g o uderzenia
Trzeciej Rzeszy w kie-
runku Węgier lub Sło-
wacji. Nie będzie to jed-
nak w najmniejszym
stopniu zrezygnowanie
ze sprawy Gdańska, lecz
tylko strategiczne wzma-
nianie pozycji przeciw-
ko Polsce, którą Hitler
w tej chwili uważa za
największą przeszkodę
w realizacji swych „pro-
metejskich” planów”.

KU „PROMETEJSKIM” PLANOM

Istotnie, Hitler szybko
zabrał się do realizacji
„prometejskich” planów,
sporządzonych w Kancel-
larii Rzeszy. Już 17
czerwca 1939 roku, czyli
akurat w dwa miesiące
po rozmowie Becka z
Gafencu w wagonie salo-
nowym, ksiądz Tiso zobowiązał się w tajnej umowie,
podpisanej przez konsula hitlerowskiego w Bratysławie,
von Druffela, i generała Wehrmachtu Barkhausena, do
współdziałania we wszystkich poczynaniach przeciw Pol-
sce. Wojska księdza Tiso otrzymały z Niemiec „dora-
dów”, a równocześnie w całej Słowacji dokonano go-
rączkowej przebudowy i naprawy nawierzchni dróg, mo-
stów i torów kolejowych — aby umożliwić sprawny trans-
port hitlerowskich dywizji pancernych. 23 sierpnia 1939
do konsulatu hitlerowskiego w Bratysławie nadeszła z
Berlina szyfrowana depesza, nakazująca konsulowi prze-
kazanie księdzu Tiso „w ściśle poufnej formie” propo-
zycji podporządkowania wojska słowackiego hitlerow-
skiemu dowódcy i przekazania Niemcom bazy lotniczej
w Spiskiej Nowej Wsi. Nie ufając zbyt lojalności sło-
wackich jednostek wobec ich głównodowodzącego w su-
tannie, Niemcy prosili też o zarządzenie dla lotnictwa
słowackiego „powszechnego zakazu startowania”.

Ta sama depesza poleca wtajemniczenie słowackiego
rządu w nieuniknione nadejście wojny polsko-niemiec-
kiej. Ksiądz Tiso musiał się cieszyć wielkim zaufaniem
u Hitlera, skoro już na przeszło tydzień przed najazdem
hitlerowskim na Polskę Berlin go zawiadomił o swych
planach.

Silne formacje wojsk hitlerowskich wkroczyły całą
swą masą do Słowacji 28 sierpnia, ale już na trzy dni
przedtem ks. Tiso polecił generałowi Ferdynandowi

Czatoszowi zmobilizowanie niektórych jednostek woj-
ska słowackiego i przerzucenie ich nad granicę polską.
Innymi słowy, jednostki te miały zabezpieczyć Niemcom
spokojne ustawienie się na dogodnych pozycjach wy-
ściowych do uderzenia na Polskę. Niektóre z tych jed-
nostek brały też udział u boku Wehrmachtu w kampanii
wrześniowej. Ksiądz Tiso stawiał na to, iż Niemcy wojnę
wygrają i że wtedy nikt go nie będzie pytał, czy najazd
na Polskę licował z moralnością chrześcijańską, czy też
nie.

PIĄTA KOLUMNA

W roku 1936, kiedy podczas wojny domowej w Hisz-
panii faszystom — niby na wielkim poligonie — próbował
swych sił w walce zbrojnej, dowódca grupy wojsk gene-
rała Franco wezwał swych żołdaków do marszu na
Madryt. Zapowiedział on, że miasto zostanie zdobyte,
gdyż „nasze cztery kolumny maszerują na stolicę, a pią-
ta czeka już na nas w środku”.

Świat czekał na słowo, które by pasowało do epoki.
„Piąta kolumna” — przyjęło się od razu. Sanacyjna
„piąta kolumna” w Słowacji działała na wiele, wiele lat
przed wojną domową w Hiszpanii. Sanacyjna dyploma-
cja dopięła też w końcu swego — faszystowskie ele-
menty, na które politycy polscy stawiali przez cały okres
międzywojennego dwudziestolecia, doszły istotnie do
władzy, ale — trawestując popularne powiedzenie Pił-
sudskiego — „wysiadły na przystanku Berlin”.

W przeddzień najazdu na Polskę czytelnicy krakow-
skiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” — tego
samego, który w marcu „witał z żywą sympatią” fasz-
ystowskie państwo słowackie i stwierdzał, że „polityka
polska może obserwować wypadki w Europie środkowej
ze spokojem” — znaleźli na pierwszej stronie gazety
oficjalny komunikat PAT, tłumaczący zarządzenia woj-
skowe. „Zwłaszcza po wkroczeniu wojsk niemieckich —
mówiła Polska Agencja Telegraficzna — na teren ościen-
nego państwa Słowacji, rząd polski po wydaniu poprzed-
nich zarządzeń, zmuszony jest w dniu dzisiejszym uzu-
pełnić pogotowie przez odpowiednie do sytuacji zarzą-



Polska jako pierwsza uznała „państwo słowackie”. Faszystowski dziennik wyczuł poli-
tyczny klimat tej wiadomości, zamieszczając obok niej portret Hitlera. W przeddzień
hitlerowskiego najazdu na Polskę, sanacyjna prasa, po niewczasie, powiedziała prawdę

żenia wojskowe”. Na trzeciej stronie redakcja doko-
nywała karkołomnego „salto mortale” w artykule pod
krzyżącym tytułem: „Zaprzędanie Słowacji Niemcom!”.
Dziennik stwierdzał, że „kto znał choć cokolwiek sto-
sunki panujące na Słowacyźnie, nie miał złudzeń co
do takiego rozwoju wypadków... Nie mieliśmy rów-
nież złudzeń co do roli i co do kierowników obec-
nego rządu słowackiego... Nie spodziewaliśmy się nigdy
rozsądku politycznego od rządu, stojącego na poziomie
rady powiatowej. Mimo to nie przewidywaliśmy podob-
nego zakłamania się, będącego oczywistym dowodem, że
rząd słowacki jest manekinem znajdującym się w kie-
szeni gauleiterów niemieckich”.

W kilkanaście godzin po tym spóźnionym stwierdze-
niu, na czytelników „I.K.C.” i innych mieszkańców
Polski południowej spadły bomby z samolotów niemiec-
kich, startujących z baz w Słowacji, ruszyła masa stali
pancernych dywizji, kierowana przez generała Listę
z jego sztabu w słowackim mieście Żylna. Kiedy naród
polski płacił krwawą cenę za politykę swego rządu, wo-
kół mieszkańców Słowacji zaciskały się coraz mocniej
złowrogie kleszcze ustroju, który lud nazwał „republiką
proboszczów”...

Dalszy ciąg nastąpi

NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

W SATYRZE COŚ SIĘ RUSZA

NASZA twórczość satyryczna do niedawna przypo-
minała nieuleczalnie chorego, który — mimo co-
raz to nowych recept, zalecanych przez uczonych
lekarzy — z dnia na dzień blednie, słabnie i staje się
smutniejszy. Dopiero po zastosowaniu ożywczej homeo-
patii IX Plenum w beznadziejnym stanie pacjenta za-
rysowała się jakaś taka poprawa. Uratowany od śmierci
z nudy, swawolny beniaminek literatury w naszych
oczach poczyną powracać do zdrowia, nabiera ciała i ru-
mienców, pozwala sobie na pierwsze nieśmiałe uśmiechy.

Pierwszym objawem postępującej naprzód rekonwale-
scencji jest widoczna poprawa „Szpilek”. Naczelny or-



rys. A. Perzyk

gan satyry polskiej coraz energiczniej zrywa z obowią-
zującą dotychczas zasadą, że „w kraju budującym so-
cjalizm humor musi być poważny”. Prenumeratorzy te-
go pisma — którzy przez lata znosili jego nudę na tej
samej zasadzie, na jakiej wierni adoratorzy tolerują
wady ongiś pięknych i młodych przedmiotów swojej
adoracji — raz po raz stwierdzają ze zdumieniem, że
„Szpilki” znowu potrafią śmieszyć, interesować, a prze-
de wszystkim kluć.

Ale cóż tam „Szpilki”! Największą niespodzianką mi-
łośnikom satyry sprawił poważny miesięcznik Stowarzy-
szenia Dziennikarzy Polskich — „Prasa Polska”. O
ostatni numer tego pisma, czytanego przedtem tylko
przez fachowców, dobijano się bardziej niż o „Dookoła
Świata”. Bo numer poświęcony był w całości znakomi-
tym parodiom satyrycznym poszczególnych pism pol-
skich. Poziom parodii był tak wysoki, iż prawdziwie za-
łować wypada, że „Prasa Polska” rozcłodzi się tylko
w niewielkiej ilości egzemplarzy. Ale powód do za-
dowolenia mają wszyscy czytelnicy polscy. Bo „pazur
satyryczny”, jaki ujawnili dziennikarze w wyśmiewa-
niu własnych błędów, pozwala przypuszczać, że błędy
te wkrótce zostaną wykorzenione z całej naszej prasy.
Na specjalne podkreślenie zasługuje fakt, że komitet
redakcyjny satyrycznego numeru „Prasy Polskiej”
składał się w większości z młodych satyryków-deblu-
tantów.

Ożywieniu wydawnictw satyrycznych towarzyszy oży-
wienie w dziedzinie teatru satyrycznego. W środowisku
satyryków krążą uparte plotki, że w najbliższym cza-
sie ma powstać kilka nowych scenek satyry literackiej.
Zupełnie nowym i interesującym eksperymentem jest
stworzony niedawno teatr satyry młodzieżowej „Kleks”.
Małeństwo to wprowadzie dopiero ząbkuje i sprawia
wiele kłopotów swoim opiekunom, ale wszyscy wierzą,
że coś z niego wyrośnie.

Eksperymentem innego rodzaju jest przekształcenie
teatru satyrycznego „Syrena” na teatr komedii mu-
zycznej. To ostatnie posunięcie Centralnej Dyrekcji
Teatrów spotkało się z ostrą krytyką ze strony środowi-
ska satyryków. Mnie się jednak wydaje, że było to
posunięcie słuszne. Dwie duże sceny satyryczne stolicy:
„Teatr Satyryków” i „Syrena” nie potrafiły zróżnicować
swojej specyfiki i kroczyły uparcie tym samym torem,
dublując i zubożając swój repertuar. Dlatego wymia-
na jednego z tych teatrów na tak potrzebny teatr ko-
medii muzycznej z pewnością nie wyjdzie warszaw-
skiej publiczności na złe. Natomiast błędem nie do da-
rowania byłoby automatyczne przeniesienie całego sa-
tyrycznego zespołu „Syreny” do pracy teatralnej innego
rodzaju. Na przykład nie wyobrażam sobie, aby naj-
lepszy konferansjer satyryczny w Polsce, Kazimierz
Rudzki, mógł rzucić konferansjerkę i zająć się wyłącz-
nie reżyserią. Mam jednak nadzieję, że do tego nie doj-
dzie.

List W NIEBIESKIEJ KOPERCIE

Zdjęcia: K. JAROCHOWSKI

Listonosz. Goniec radosnych i smutnych wieści. Dzień w dzień, w skwarne lato i jesienną pluchę — przychodzi do naszych drzwi. Jakże mało jednak o nim wiemy. On natomiast wie o nas wiele i — milczy. Nie wolno mu powiedzieć pani Kowalskiej z trzeciego piętra, że jej sąsiadka otrzymała dziś nowe wezwanie do sądu za „pyskówkę“, którą urządziła na schodach; ani że panu Władysławowi — temu z wąsikami — wręczył własnie liścik od narzeczonej. Listonosz jest dyskretny i może dlatego tak mało wiemy o nim i jego pracy. A nie jest ona lekka. Iluż jest listonoszy w naszym kraju, którzy w codziennych swych obchodach kilkakrotnie obeszli już kulę ziemską, a w torbach swych przeniesili paczki i listy równe wadze kilkunastu wagonów kolejowych. A mimo to — jakże mało wiemy o pracy listonoszy, o ich kłopotach i trudnościach, o tym, jakie są właściwie przyczyny, dla których list z Piotrkowa do Warszawy idzie aż cztery(!) dni.

Znamy i nie pomniemy znacznych osiągnięć naszej poczty. Faktem jest, że przy nieznacznym tylko zwiększeniu liczby pracowników usługi poczty wzrosły w ciągu ostatnich pięciu lat przeciętnie dwukrotnie. Samych przekazów przecież wysyłamy dziś trzy razy więcej niż w r. 1949.

Wiemy, że to jeszcze nie wszystko, że trwa walka o dalszą mechanizację i automatyzację pracy poczty, że już osiągnięto bardzo poważne wyniki. Np. zmechanizowanie paczkarni i sortowni urzędu Warszawa 2 doprowadziło do tego, że tam, gdzie dawniej 120 pracowników ekspedowało dziennie ledwo 3 tys. worków, dziś 92 pracowników daje sobie radę z 10 tys. worków poczty. Opracowano już plan mechanizacji rozdzielni listowych i paczkowych wszystkich węzłowych urzędów. Jeszcze w r.b. otrzymają one elektryczne lub mechaniczne

ne stemplownice listów. W urzędach zawieszono będą automaty do sprzedaży znaczków pocztowych itd. itd.

1 kwietnia poczta zgotowała nam niespodziankę (o wynikach jeszcze za wcześnie mówić): odtąd we wszystkich większych miastach listy miejscowe wrzucone do zielonej skrzynki przed godz. 10 rano — jeszcze tego samego dnia doręczane są adresatowi.

I wreszcie — choroba nie specjalnie pocztowa — biurokracja. Na tym odcinku Ministerstwo pochwalić się może poważnymi osiągnięciami: w ciągu ostatniego okresu zmniejszono „papierkowe urzędowanie“ o jedną trzecią, likwidując 66 zbędnych sprawozdań i upraszczając kilkanaście dalszych. Już to jedno dało oszczędność na samym papierze w wysokości 4,5 tony rocznie (jest to ilość wystarczająca na wydrukowanie około 50.000 dodatkowych egzemplarzy „Świata“).

No dobrze, powie Czytelnik, jeżeli jednak jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Dlaczego listy nadal doręczane są dopiero po 3, 4, 5 i więcej dniach? Aby odpowiedzieć na to pytanie, aby zgłębić tę „tajemnicę listu pocztowego“, trzeba poznać warunki pracy i życia tysięcy listonoszy i pracowników poczty. W tym celu reporter zwiedził 37 urzędów pocztowych i agencji, wdrapywał się na platformy mechanicznych sortowarek, wędrował po szlakach wiejskich listonoszy, jeździł pocztowymi ambulansami, a przede wszystkim rozmawiał... Rozmawiał z kierownikami urzędów pocztowych i listonoszami, z pracownikami ambulansów i panienkami z okienka, z magazynierami i dyrektorami departamentów Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Wyniki wszystkich tych podróży i dziesiątków rozmów przedstawiamy dzisiaj Czytelnikom „Świata“. Niechże one dadzą częściową choćby odpowiedź na nurtujące nas pytanie: dlaczego listy nasze idą tak długo?

W dzień i w nocy, bez przerwy, po torach całego kraju pędzi przeszło 300 ambulansów pocztowych. W każdym z nich jedzie kierownik, magazynier i... „pajaki“. Nie są to jednak znane nam wszystkim stawonogi. Pajakami nazywani są przez swych kolegów pracownicy ambulansów, noszący urzędową nazwę pomocy kancelaryjnej. Kierownik, magazynier i owe „pajaki“ — to właśnie zespół ambulansu pocztowego.

Praca w ambulansie nie jest ani łatwa, ani lekka. Nie wystarczy wydać i przyjąć na poszczególnych stacjach dziesiątki worków z listami i setki paczek. W czasie jazdy zespół musi jeszcze przerobić — tzn. podzielić, posortować, zapakować i wydać — kilkadziesiąt worków poczty. Toteż gdy ty, Czytelniku, przewracasz się na drugi bok w wagonie sypialnym lub spokojnie czytasz książkę w przedziale — zespoły ambulansów ani na chwilę nie przerywają pracy. A przecież rozpoczynają ją na kilka godzin przed wyruszeniem pociągu, a kończą znacznie później, niż ostatni pasażer opuści swój przedział.

Następnego dnia po nadaniu go w Warszawie, list Jacka znalazł się na stole wagonu pocztowego. Asystentka Zofia Sendzewska szybko, sprawnymi ruchami dzieliła zawartość worka. Po chwili niebieska koperta znalazła się już w odpowiedniej przegródce.

— Dzień dobry — odezwał się nagle gruby, w brązową kopertę opięty list. — Szczęściarz z pana.

— Dlaczego? — zdziwił się naiwnie nasz bohater.

— Zaraz widać, że to pana pierwsza podróż — kontynuował gruby głos. — Przecież tutaj pracuje panna Zosia, przodownica. Ja już tułam się szósty dzień i nie wiem, kiedy trafię wreszcie do domu. Wysłano mnie z Grodna do Kolna — ot, kilkadziesiąt kilometrów — ale od pierwszej chwili zaczęły się przygody. Najpierw w urzędzie pocztowym w Grodnie wrzuciono mnie do niewłaściwego worka i powędrowałem do Krakowa. W smoczym grodzie bardzo się zdziwiono moim przybyciem i załadowano z powrotem do Warszawy. Ze stolicy, znów przez pomyłkę, pojechałem do Szczecina i teraz wreszcie wracam do Łomży.

— Ze mną było podobnie — odezwał się cienki liścik. — Tyłko, że winna była nie poczta, a pani Katarzyna, która mnie wysłała: zamiast Bielsk Podlaski, napisała na kopercie — Bielsko. Dlatego powędrowałem z Warszawy najpierw na Śląsk.

— Tak, tak, z tym adresowaniem nie zawsze jest dobrze — podjął grubas. — W czasie mojej wędrowki spotkałem się z licznymi kolegami-podróżnikami. Wiele z nich miało niewyrażnie lub niewłaściwie wypisane adresy. Ale często tulali się nie z własnej winy: nasze dzielaczki lubią się mylić. A poza tym pocztowcy sami utrudniają pracę swym kolegom. Bo pomyślcie tylko — w Warszawie są skrzynki czerwone i zielone. Po co? — dla ułatwienia pracy poczty, oczywiście. A tymczasem opowiadano mi, że często listy z obu skrzynek wrzuca się do jednego worka i dlate...

Głośny atak kaszlu przerwał interesujące wywody.

— Do licha z tym pyłem — rozległ się szmer niezadowolonia. — Tyle już razy Ministerstwo obiecywało, że w wagonach pocztowych zainstaluje odkurzacze i wentylatory. I co z tego? Obiecywali, próbowali i na tym się skończyło.

Praca w ambulansie pocztowym nie jest lekka ani przyjemna. Pełno tu pyłu od gazet i listów, a z lokomotywy wszystkimi szparami wdziera się tlenek węgla. Toteż Główny Inspektorat BHP Ministerstwa razem ze Związkiem Zawodowym od dłuższego już czasu walczą o przyznanie załogom ambulansów mleka, podobnie jak je otrzymują pracownicy zatrudnieni przy dzieleniu gazet. Ministerstwo Opieki Społecznej stale odrzucało jednak wszystkie wnioski pocztowców zasłaniając się sztywnymi przepisami. Obecnie sprawy te przejęte zostały przez Ministerstwo Zdrowia. Mieljmy nadzieję, że teraz wreszcie słuszne postulaty ambulanserów będą uwzględnione.

Brak mleka, to oczywiście nie jedyne utrudnienie pracy załóg ambulansów. Skarżą się oni na złą współpracę z kolejarzami (wiele mógłby tu zdziałać Związek Zawodowy Pracowników Łączności), skarżą się na brak odkurzaczy i wentylatorów w wagonach pocztowych, na zimno i nieporządek w kwaterekach, w których nocują i odpoczywają po pracy. Nadziei pocztowców nie spełniły również nowe wagony produkcji PaFawagu, które mają być rozplanowane wnętrza. I na tym odcinku nastąpić ma jednak wkrótce poprawa. Przygotowana jest już bowiem dokumentacja techniczna nowego typu wagonów pocztowych, których produkcja wkrótce się rozpocznie.

MYDŁO BRAĆ, SUKNIE PRAĆ

— Fe, jak brudno — mruknął nasz list, gdy wyrzucony z worka znalazł się na stole w urzędzie obwodowym w Łomży — pobrudzę sobie całą kopertę.

Wszystko tu było wspaniałe: marmurem wykładane ściany, marmurowe schody, kryształowe szkła, niklowe



W POGODNY, kwietniowy wieczór do urzędu pocztowego Warszawa 10 na MDM wbiegł młody człowiek. Szybkim krokiem podszedł do marmurowego pulpitu i na wyjętej z kieszeni kartce papieru zaczął kreślić list:

Kochani Rodzice!

Pragnę Was zawiadomić o pomyślnym wyniku egzaminów. Udało mi się złożyć je wcześniej, niż przypuszczałem. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw w Warszawie, toteż wyjadę dopiero za trzy dni. W domu Wam o wszystkim dokładnie opowiem

Wasz Jacek

Zamaszystym pismem skreślił na niebieskiej kopercie adres i podszedł do okienka, aby kupić znaczek. Przed nim stało jeszcze kilka osób. Czekając na załatwienie — Jacek począł rozglądać się wokoło. Wszystko tu było wspaniałe: marmurem wykładane ściany, marmurowe schody, kryształowe szkła, niklowe okucia, neonowe światła. Czegoż tam zresztą nie ma w tym wspaniałym urzędzie pocztowym?

Na przykład nie ma... okien. To znaczy, są — olbrzymie, opatrzone wspaniałymi, w żelazie kowanymi kratami, ale... zamurowane ścianą sąsiedniego budynku. Oczywiście nie wszystkie — te od frontu pozostały, ale dla odmiany nie otwierają się. Ale to jeszcze nie wszystkie tajemnice tego urzędu. Wymieńmy tylko niektóre. A więc w lokalu przewidzianym dla 70 urzędników, pracuje obecnie 210. W sortowni listów nie ma wprawdzie ani ogrzewania, ani wentylacji, spod podłogi natomiast stale wydobywa się woda. Światło jarzeniowe chroni wprawdzie wzrok, ale za to stale się psuje, tak że częstokroć urzędnicy pracują w ciemności (podnosi to ta-

jemniczość poczty...). Na 210 pracowników są wprawdzie aż trzy ubikacje, ale za to prawie stale zepsute...

Wróćmy jednak do naszego bohatera. Po kilku minutach list Jacka zaopatrzony w znaczek i wrzucony do skrzynki pocztowej rozpoczął swą długą, zbyt długą, niestety, pocztową podróż.

KTO SZYBKO DAJE...

W skrzynce pocztowej było ciemno i przytulnie. W ciszy i zgodzie leżały tu obok siebie (a właściwie — jedna na drugiej) rozmaite koperty: duże i małe, białe i szare, urzędowe i prywatne, a wśród nich — jedna niebieska. Niedługo dane im było odpocząć; wyrwane ze słodkiej drzemki i przewiezione do urzędu pocztowego Warszawa 2 znalazły się na stole dzielnicy. Sprawne ręce szybko, bardzo szybko wrzuciły je do odpowiednich przegródek, skąd, zapakowane w worki, udały się w dalszą podróż do wszystkich zakątków kraju.

Dziwiły się listy tej szybkości, której dawniej nie znały. Zaśluga to wprowadzonego 1 grudnia roku 1953, tytułem próby (w dwóch urzędach pocztowych — Warszawa 2 i Lublin 2), nowego systemu indywidualnego premiowania dzielaczy (tzn. pracowników zajętych segregowaniem listów na poszczególne szlaki czy urzędy).

Wbrew twierdzeniom zatwardziałych rutyniarzy wprowadzenie premii indywidualnych spowodowało prawie natychmiastowy, znaczny wzrost wydajności pracy. Przedstawiciele Ministerstwa również przyznają, że system ten zdał egzamin. Dziwić się więc należy, dlaczego do tej pory nie rozszerzono go na inne działy i urzędy? Dlaczego nadal obowiązuje stary, niewłaściwy system premiowania? I dlaczego w niektórych działach premiowanie w ogóle nie istnieje?

„Kto szybko daje, dwa razy daje“ — głosi ludowe przysłowie. Dobrze byłoby, aby Ministerstwo wzięło to sobie do serca. Może to właśnie tu, w niewłaściwym systemie premiowania, leży jedna z przyczyn „tajemnicy listu pocztowego“?

„PAJAKI“ W AMBULANSIE

W dzień i w nocy, bez przerwy, po torach całego kraju pędzą pociągi. Ze Szczecina do Warszawy, z Krakowa do Lublina, z Łodzi do Wrocławia.

Ponieważ jednak nikt nie zwracał na niego uwagi, zaczął ciekawie, jak to zwykły robić wszystkie listy (z wyjątkiem urzędowych, oczywiście), rozglądać się po sali. Wprawdzie nie był to znany mu już „najnowocześniejszy urząd pocztowy” Warszawa 10, ale i tutaj pełno było „tajemnic”. Brudne, odrapane ściany straszły smutnymi szczątkami niechlujnie wypisanych „obwieszeń”, przez niedomykające się drzwi i okna wdzierał się chłodny wiatr, zniszczone parapety aż prosiły się o naprawę.

— Kiedyż nareszcie będziemy mogli tutaj spokojnie pracować — odezwał się nagle głos jednej z urzędniczek.

— Cóż robić — tłumaczył kierownik urzędu — od roku już mamy przyznane fundusze na remont, ale żadne przedsięwzięcie budowlane nie chce się podjąć. Twierdzą, że nie mają czasu i że im się nie opłaca „bawić w remonty”. Prosimy, monitujemy — nic nie pomaga. Tak się zresztą dzieje nie tylko u nas.

Najprostszą na to radą byłoby zorganizowanie w każdej okręgowej dyrekcji poczt brygad remontowych, które przerzucane samochodami z miejsca na miejsce wykonywałyby we własnym zakresie konieczne naprawy. Istniały wprawdzie przez kilka lat takie brygady w Łodzi i Wrocławiu, wyniki przez nie osiągnięte były bardzo poważne, ale — zamiast zdobyte doświadczenie rozszerzyć na pozostałe okręgi — Ministerstwo postanowiło obie te brygady zlikwidować. Dlaczego? — Na to pytanie nie umiał mi odpowiedzieć nikt z zainteresowanych.

— Mydło brać, suknie prać — przerwał te wywody nasz list. — Remont jest tu wprawdzie potrzebny, to prawda, ale nie zawadziłoby, obywatelu naczelniku, wziąć trochę mydła, dobrą szczotkę i wyszorować wszystkie stoły i ściany (przecież pomalowane są olejną farbą). I to nie tylko tu, w Łomży, ale i w wielu innych urzędach pocztowych.

Remonty remontami — ale i to musimy sobie otwarcie powiedzieć — wielka ilość placówek pocztowych, zwłaszcza na wsi, nie posiada w ogóle odpowiednich pomieszczeń. Gnieźdzą się więc w drewnianych budach, w dawnych lokalach sklepowych, byłych magazynach kolejowych (Warszawa 2), byłych aresztach (Wojnicz), w pomieszczeniach dobrych na wszystko, tylko nie na pocztę. Często — jak np. w Lisiej Górze koło Tarnowa — osiem pracowników gnieździ się w jednej, maleńkiej izdebce. Ze takie warunki nie ułatwiają pracy — to chyba jasne.

Obracająca milionami Poczta sama jest w istocie kopciuszką, zbyt biedną, aby wybudować kilka tysięcy domów dla swych placówek. A przecież i na to jest rada. Potrzeba tylko trochę dobrej woli. Po prostu przy projektowaniu nowych budynków dla urzędów gminnych, świetlic czy domów kultury Rady Narodowe powinny przewidzieć odpowiednie pomieszczenie i dla urzędu pocztowego. Dobrze byłoby, gdyby właściwe instancje zainteresowały się tą sprawą i wydały odpowiednią instrukcję.

I ZNOWU NIE TYLKO W ŁOMŻY...

Panna Stasia uważana jest za wzorową pracownicę, ostatnio jednak wydawała się jakoś dziwnie zmęczona.

— Cóż jej się stało? — zapytał nasz list swoich kolegów.

— To ty nie wiesz o tym, że Stasia przez dwa lata nie miała urlopu? Czyż można się więc dziwić, że pracuje dzisiaj gorzej niż zwykle?

W urzędzie obwodowym w Łomży wielu pracowników ma „urlopowe zaległości”. Naczelnik urzędu Edmund Tesman tłumaczy się brakiem... dodatkowych etatów na zastępców. Tłumaczenie takie nie jest oczywiście w żadnym wypadku wystarczające. Przecież w tysiącach zakładów pracy w całym kraju, dziesiątki tysięcy pracowników bez żadnych trudności wyjeżdżają co rok na urlopy. Czy gdziekolwiek angażuje się na ten okres specjalnych „zastępców”? Oczywiście, nie. Kwestia urlopów, to przecież tylko sprawa właściwego, planowego zatrudnienia pracowników. W Łomży i, niestety, w wielu innych urzędach pocztowych panuje wśród kierownictwa przekonanie, że wszyscy pracownicy są niezbędni, że żaden nie może wykorzystać urlopu, dopóki dyrekcja okręgowa nie przyzna dodatkowego etatu. Pogląd taki wyznaje również wielu przewodniczących rad miejscowych, a co gorsza i sekretarzy organizacji partyjnych. Inna sprawa, że nie bez winy jest i samo Ministerstwo, które przyznając, że istniejąca obecnie 6-procentowa rezerwa urlopową jest zbyt niska — nie walczy o podwyższenie tej liczby.

Ze sprawą urlopów wiąże się zagadnienie czasów pracowniczych, przy czym znowu winą Ministerstwa jest utrzymywanie przestarzałego systemu szeregowania pracowników, co powoduje, że z dwóch kolegów wykonujących te same funkcje, jeden traktowany jest jako pracownik umysłowy, a drugi — jako fizyczny. Dobrze, że sprawą tą zajął się wreszcie Zarząd Główny ZZPŁ; źle — że od dwóch miesięcy sprawa ta leży niezałatwiona w sekretariacie CRZZ.

DEPESZA, CZYLI O ROWERACH

Do Leszka

Przyszła depesza...

Listonosz depeszę bierze

I śpieszy,

I śpieszy,

I śpieszy,

Na rowerze,

Na rowerze,

Na rowerze,

Z tą depeszą do Leszka Kuleszy.

— podśpiewywał sobie Jacek, gdy wysiadając na maleńkiej stacyjce pomyślał o tym, z jaką niecierpliwością czekają na niego rodzice. Przecież list wysłany z Warszawy przed 4 dniami, na pewno już dotarł do ich rąk. Jacek szybko opuścił dworzec i skierował się w stronę Rynku — do domu miał jeszcze prawie 6 kilometrów. Nie dochodząc do budynku, noszącego szumną nazwę „Agencji Pocztowej”, spostrzegł znajomego listonosza Kozłowskiego, który właśnie ruszał w swój codzienny obchód.

— Dzień dobry, panie Kozłowski — zagadnął Jacek. — A dlaczego to piechotą, a nie na rowerze?

— Urwał mi się pedał — odparł Kozłowski. — A tu nigdzie nie można dostać.

I tu zaczyna się historia, która wcale nie wygląda tak różowo, jak w cytowanym wyżej wierszyku Brzechwy. Bowiem z rowerami dla listonoszy wiejskich nie jest wcale tak dobrze. Nie będziemy sprzeczali się z Ministerstwem, czy tych rowerów w chwili obecnej brakuje 1.900, czy 4.000. Nawet bowiem, gdy zgodzimy się, że 2.100 rowerów jest, tylko trzeba je wymienić — fakt pozostanie faktem, że 4.000 listonoszy wiejskich nie śpieszy do Leszka Kuleszy na rowerze, bo go nie ma (roweru, nie Leszka).

Sytuację pogarsza jeszcze to, że na wsi niezmiernie trudno naprawić nawet drobne uszkodzenie roweru, nie mówiąc już o zdobyciu jakiegokolwiek części zamiennej. W sklepach GS kupić można wiadra i flanelę, konserwy rybne i odbiorniki radiowe, ba, nawet maszyny do szycia, nie można natomiast dostać łańcucha do roweru, przekładni, trybiku czy pedału. Jak wiadomo —

okucia, neonowe światła. Czegóż tam zresztą nie ma w tym wspaniałym urzędzie pocztowym Warszawa 10?...

Na przykład nie ma... okien. To znaczy są, ale zamurwane ścianą sąsiedniego budynku, więc mało użyteczne



Asystentka Sendrowska należy do przodujących pracowników ambulansowych. W jej wagonie nie ma pomyłek

rower składa się z wielu drobnych części i uszkodzenie jednej śrubki wartości 20 groszy unieruchomia „stalowego rumaka” wartości tysiąca złotych. Aby temu zaradzić, sklepy GS-ów powinny mieć stale na składzie wiele właśnie tych drobnych części zamiennych. Ale na śrubce za 20 groszy, czy nawet na trybiku za kilka złotych — niewiele można zarobić, a kłopotów z tym co niemiarą. Toteż w sklepach GS-ów jest wiele szamowitych skarbów, ale nie znajdziesz śrubek do roweru.

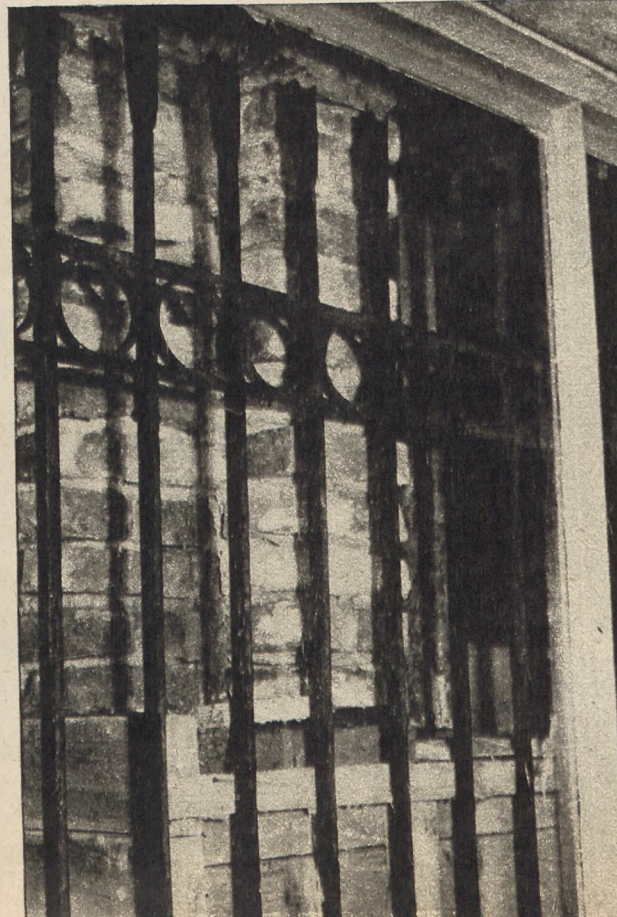
Cóż więc robi listonosz, gdy popsuje mu się rower? Odstawia go pod ścianę i piechotą rusza w obchód (co trwa oczywiście znacznie dłużej). Bo listy i gazety nie mogą czekać, aż Związek Gminnych Spółdzielni nakłoni wreszcie kierowników swych sklepów, aby łaskawie zgodzili się na prowadzenie „rowerowego towaru”...

O tym wszystkim opowiadał Jackowi stary listonosz. I o wielu jeszcze innych bolączkach pracowników poczty!

— Ale! ale! — zawołał nagle Kozłowski. — Ja mam przecież list do twoich rodziców. Może go weźmiesz? — I z przepastnej swej torby wyjął znajomą niebieską kopertę.

Opowiedzieliśmy Wam, drodzy Czytelnicy, historię jednego listu. Opowiedzieliśmy Wam zarazem o niektórych przyczynach, dla których listy nasze tak długo są w drodze. Bowiem zarówno premie, jak i mleko, urlopy i lokale, zła praca dzielaczek i niechlujne adresy, bezduszność niektórych kierowników urzędów i zła praca ogniw związkowych — wszystko to łącznie składa się niewątpliwie na „tajemnicę listu pocztowego”.

Listonosz Szczygłowski z Nowogrodu Łomżyńskiego należy do tych szczęśliwych, których rower jeszcze „chodzi”



W REJONIE

Pułkownik De Castiers, dowódca oblężonej od kilku tygodni fortecy Dien Bien Fu, posyła co pewien czas do Paryża błagalne depesze, które z kolei przekazywane są przez rząd francuski do Waszyngtonu. „Są to wezwania S.O.S.” — tak je określił korespondent Reutera. Francuski korpus ekspedycyjny w Wietnamie prosi o dodatkowe dostawy amerykańskich samolotów, artylerii, urządzeń radarowych i tak dalej. Sprawa jest pilna — dodają Francuzi. Istotnie, potrzeba tych samolotów natychmiast, bo inaczej cała imperialistyczna awantura w Wietnamie może zakończyć się bardzo smutno...

Nie ma w tych błagalnych wołaniach przesady. Jeśli dotychczas francuski imperializm ponosił w Wietnamie większe i mniejsze klęski, to teraz — tego już nikt nie ukrywa — zanosz się na katastrofę. Dookoła Dien Bien Fu szaleje od dłuższego czasu największa bitwa w dziejach walk o wyzwolenie Wietnamu. Oddziały armii ludowej przy silnym wsparciu artylerii (jak twierdzi sam de Castiers, nie docenianej przez stronę francuską) atakują z powodzeniem pozycje nieprzyjaciela. Wojska Wietnamu zajęły już cztery fortezy należące do grupy umocnień Dien Bien Fu i znajdują się zaledwie o półtora kilometra od centrum fortecy. Francuzi bronią się rozpaczliwie, zasilani przez desanty spadochroniarzy, które ładują dziesiątkowane morderczym ogniem artylerii ludowej. Burze wiosenne, które trwają od kilku dni, osłabiły nieco tempo ofensywy. Ale co będzie dalej?

„Bitwa o Dien Bien Fu — donosi korespondent amerykańskiej agencji United Press — przestonila bitwę w Delfie Rzeki Czerwonej, która w rzeczywistości ma dużo większe znaczenie strategiczne i polityczne...”

Salwy artylerii ludowej dezorganizują obronę Hanoi, stolicy północnego Wietnamu. W nocy z 5 na 6 kwietnia wojska wietnamskie zdobyły niespodziewanym atakiem fort położony w odległości 9 km od Hanoi. Szosa prowadząca z Hanoi do Haifongu w wielu miejscach obsadzona jest przez wojska ludowe...

Zwycięska ofensywa armii wyzwoleniczej trwa w całym kraju. W południowej części Patet Lao oddziały ludowe dotarły do zbiegu granic Syjamu, Patet Lao i Khmeru, opanowując szereg dróg o znaczeniu strategicznym. Z pomocą wietnamskiej armii regularnej przechodzą poważne oddziały partyzanckie. „Władze obawiają się — donoszą dziennikarze amerykańscy — iż w razie upadku Dien Bien Fu partyzanci przy pomocy oddziałów regularnej armii wietnamskiej mogą usiłować odcłąć Hanoi...”

Sygnaly S.O.S. w Wietnamie są więc ostrzeżeniem dla amerykańskich imperialistów, którzy chcieliby w Indochinach powtórzyć interwencję koreańską. Imperialiści zapomnieli już widocznie o nauczkach, jakie otrzymali w Korei.

Narody Wietnamu, Khmeru i Patet Lao pragną w pokoju budować u siebie lepszą przyszłość. Uczciwi ludzie na całym świecie popierają ich dążenia i w przeddzień konferencji genewskiej zdają sobie sprawę, że agresywna polityka USA stanowi główną przeszkodę do ustanowienia pokoju w Azji.



PRZY WSPARCIU ARTYLERII ODDZIAŁY

Francuzi bronią się rozpaczliwie, zasilani przez desanty spadochroniarzy, które ładują dziesiątkowane silnym ogniem artylerii ludowej...

POPŁOCH NA POZYCJACH FRANCUSKICH: ROZPOCZĄŁ SIĘ ATAK ARMII LUDOWEJ! WIETNAMCZYCY SĄ JUŻ O PÓLTORA KILOMETRA OD CENTRUM FORTECY...



DIEN BIEN FU



Y LUDOWE PROWADZĄ KOLEJNE GWALTOWNE NATARCIE. CZTERY FORTY SĄ JUŻ W ICH RĘKACH...



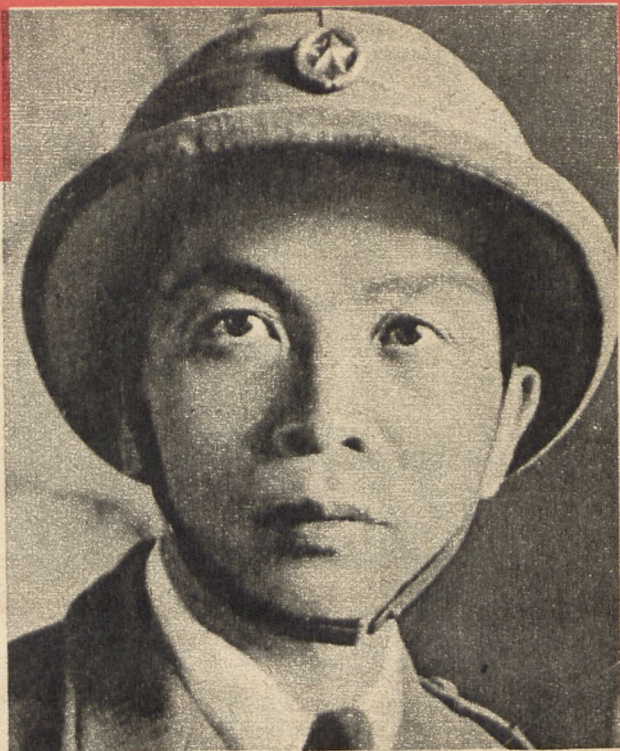
Francuski korpus ekspedycyjny nawet słonie zmusza do walki z „czerwonymi”. Ale i to bynajmniej nie pomaga...



Pulkownik de Castiers posyła do Paryża błagalne depesze, które Amerykanie określili jako „wezwanie S. O. S.”...



Przed atakiem. Zwycięska ofensywa wietnamskiej armii wyzwolenczej trwa nieprzerwanie na wszystkich frontach. Jest to ostrzeżenie dla imperialistów amerykańskich, którzy chcieliby także w Indochinach powtórzyć interwencję koreańską



Vo Nguyen Giap, Min. Obrony Narodowej, głównodowodzący armii Wietnamskiej Republiki Demokratycznej



Co będzie dalej? To pytanie zadają sobie tysiące żołnierzy francuskich, oblężonych w twierdzy Dien Bien Fu



CYGANERIA WARSZAWSKA 1910-1913

WSPOMNIENIA I ANEGDOTY

STARZA DZIEŹBICKI mógł się przyśnić niejednemu. Wysoki, górujący nad tłumem wielką masywną głową Buddy, ubrany w melonik i sakpalto, sunął majestatycznie wieczorną ulicą. Można się założyć, że ma w kieszeni otwarty szczyryk i kawałek węgla drzewnego — magiczne akcesoria przeciw złym duchom.

W dzień urzędnik Kredytowego Banku Ziemińskiego, od wieczora komentator wpływów stropu niebieskiego, stawiał nieomylne, oparte na podstawie daty urodzenia tzw. horoskopy. Grał pięknie na skrzypcach i na każdy dzień tygodnia nosił innego koloru krawat, odpowiadający przypadającej na dany dzień planecie. A więc w niedzielę — w dniu słońca — złocisty krawat złoty. W poniedziałek — dzień księżyca — srebrno-srebrny. Wtorek — Merkury — brązowy. Środa — Mars — czerwony. Czwartek — Jowisz — niebieski. Piątek — Venus — zielony. Sobota — Saturn — czarny. Były to czasy, kiedy gazety nie podawały jeszcze komunikatów meteorologicznych, miały natomiast rubrykę pt. „Co wrożą gwiazdy?”. Świat ówczesny bowiem, oprócz najgrubszego materializmu i mieszczańskiego groszობstwa, napęlił się rodzajem anarchii psychicznej: zalała go powódź chaotycznych duchowości z sesansami, maskotkami, okultyzmami itp. Uczeń tak poważny jak William Crookes i Oliver Rodgestawiali na studiowanie duchów, tak jakby to były pajaki. Towarzystwa metapsychiczne rosły jak grzyby po deszczu. W niezdrowym klimacie tych środowisk pleniły się bujnie, obok starych grzechów naszej prowincjonalnej planety, modne bziki i kompleksy. Nawet w szkole na Hożej mieliśmy przedstawiciela tego typu ezoteryków. Żył on w wiecznym niepokoju rozdwojenia swej jawni, w ciągłym strachu przed złymi duchami, zjawami itp. Prócz duchów wierzył on również w kaskadę kaszaną i konieczność życiową dobrze wyprasowanych spodni. W dedatku nosił dziwne nazwisko: Hermes. Poza tym był to miły, spokojny biedak, pozbawiony przy tym zmysłu powonienia. Sprawdził się był kiedyś do pokoju kawalerskiego, jaki zajmowałem z drugim kolegą, na tak zwanych „parę dni” — a siedział, naturalnie, parę miesięcy. Ostatecznie moglibyśmy wytrzymać, gdyby nie kaszanika i spodnie. Plagą dla nas było to, że wracał po północy, po czym smażył sobie na prymusie kaszanę. Po kolacji zwykle prasował spodnie. Śwąd kaszaniki, połączony z zapachem mokrej, przepalonej ścierki doprowadzał nas do szału. Postanowiliśmy go zlikwidować, tj. wylać z mieszkania. Nie było to takie trudne. Jak już się o tym mówiło, bał się on okropnie wszystkiego, co trąciło tajemniczością i zaświatami. Do tej „zaświatowej” taktyki uciekliśmy się zapytując go po prostu, czy nigdy w nocy nie w tym pokoju nie zaobserwował — bo tu straszny. W pokoju tym bowiem powiesił się jakiś alkoholik. Od razu, już najbliższej nocy, czuwał, przewracając się niespokojnie na swym barłogu. Zaraz więc następnej nocy zainscenizowaliśmy koszmarny debiut duchów. Upřednio zaprosiliśmy do pomocy jednego z kolegów, Henia Czernego, którego mały wzrost umożliwiał mu siedzenie w koszu od bielizny. Złośliwy od urodzenia, z pietyzmem zajął się on przygotowaniami i zaopatrzył się w niezbędne przyrządy, tak że jak tylko Hermes zgasił światło, w pokoju zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Z niszy, gdzie stał kosz, sączyła się zielonkawa poświata, wydobywały się stam-

tał jakieś tajemnicze stuki, jęki, zgrzytanie zębów. Dusiliśmy się ze śmiechu, obserwując Hermesa. Kiedy wreszcie zaczęły się „aporty” i „lewitacje” i na zeszytniałego ze strachu delikwenta zaczęły spadać różne przedmioty, a krzeselko uniosło się pod sufit, nie mógł on dłużej wytrzymać, krzycząc: „Ratunku, duch wisielca!” — wybiegł na korytarz. Zbiegli się sąsiedzi. Jeden z nich, malarz Butrymowicz, wtajemniczony w nasze machinacje, poradził, że należy Hermesa odczarować. Musi on bowiem być wybitnym medium i łącznie z nami dwoma tworzy, jak widać, niebezpieczny „węzeł magiczny”. Zabawa trwała dalej. Na czołe Hermesa umieściliśmy trójkąt z papieru, zapisany znakami kabały. Rozebraliśmy go do naga i kazali usiąść na podłodze. Dokoła niego wymalowaliśmy, za pomocą denaturatu, trójkąt, który wkrótce zapłonął. Kadząc jakimis ziołami i trzymając się za ręce, kazaliśmy mu powtarzać na głos: „Apage, pneuma misera”. Była już trzecia w nocy, kiedyśmy go zapewnili, że na tę noc jest już odczarowany. Nazajutrz, skoro świt, Hermes się wyprowadził.

Wróćmy jednak na Nowy Świat. Zbliżała się ósma. Godzina „Udziałowej”. Po dwugodzinnych turniejach dowcipów i dyskusji, mniej więcej o godz. 10, cała paczka zmieniała „tapety”, tj. udawała się na szklaneczkę



W kawiarni Jackowskiego

gluhweinu (czerwone grzane wino z korzeniami) do Jackowskiego, róg Nowego Świata i Wareckiej (dzisiaj Desy). Wnętrze to pełne zielonych, upiornych luster, kryształowych kandelabrow i pluszowych fotelików koloru bordo, zaludniały przeważnie damy z półświatka. Wyzywające stroje, kapelusze ze strusimi piórami, dekolty, boa, wysoko eksponowane łydki, róż i szminka nie budziły już wątpliwości co do ich kondyty. Z papierosami, sącząc przez słomki modny absynt i mazagran, siedziały te damulki czekając na tzw. frajerów — ci ostatni rekrutowali się przeważnie spośród podtatu-

siałych satyrów w białych getrach — gwardyjskich oficerów oraz przyjezdnych komiwojażerów i kupców ze wschodu. Koło północy szło się do „Empiru” na Krakowskim Przedmieściu na przekąskę i ostatnią pół czarnej. Wreszcie koło pierwszej w nocy, oszołomiony z lekka kawą i gluhweinem, z mętym łbem, naszpikowanym zasłyszczanymi mądrościami, wracałem do siebie na Chmielną. Kiedy zasypiałem, szumiały mi nie tylko „echa kawiarni”, ale i dochodzące z dołu z „Akwarium” ostatnie szlagiery z repertuaru tzw. podkasanej muzyki. Tak się mniej więcej kończył mój pracowity i pełen emocji dzień studiów.

Dziś, kiedy staram się przypomnieć zasłyszane wówczas dyskusje, tematykę sporów, drogi rozumowania, jestem tak samo ciemny jak wtedy, kiedy siedząc między tymi prorokami kawiarnianymi starałem się zrozumieć, w co oni właściwie wierzą, czego chcą, do czego dążą. Nie jest to rzeczą łatwą. Wśród całej tej powodzi gadulstwa, frazesów, błyskotliwych popisów elokwencji, świetnych nieraz przebiegów szyderczego humoru, przebiegała się jedna wielka prawda — brak wiary w jakieś idee w ogóle. W mózgach panował zamęt. Nietzscheński nadczłowiek, jakiś mętny, zalkoholizowany Absolut Przybyszewskiego i jakiś przeciwstawiający się ciasnemu materializmowi solipsyzm — owo skrajne zwątpienie o wszystkim poza własnymi doznaniem. Cześci stały się większe od całości. Wątpiło się już nie o istnieniu aniołów czy diabłów, ale — jak to dowcipnie powiedział Chesterton — o istnieniu ludzi i krów. Prawdziwy sceptyk zadawał sobie pytanie, dlaczego coś w ogóle miało być prawdziwe? Albo, dlaczego dobra logika nie miałaby być równie zawodna jak zła? Toż obydwie są tylko ruchami atomów „w mózgu oszołomionej małpy”. Ostatecznym wnioskiem takich filozofii mogłoby być tylko jedno hasło: ergo bibamus.

Pito więc, pito dużo... Ale jeżeli chodzi o opisywanie przeze mnie środowisko, to pito... przeważnie czarna kawa, czasami gluhwein lub rzadko — snobistyczny, dekadentyczny absynt. Kawa była tym niezastąpionym pobudzającym intelekt napojem, bez którego, kto wie, może by i nie było ani tych świetnych zebrań, ani atmosfery sprzyjającej ciągłym turniejom słowa, turniejom, gdzie rozstrzygano i przetrwano wszystkie te tak sprzeczne prądy myślowe tej epoki, która wśród wszelkich cudów zdobyczy naukowych i technicznych nieprzerwanie dążyła do rozkładu.

Wtedy jednak, kiedy elita intelektualistów błądziła po dżunglach dysput kawiarnianych, na robotniczych przedmieściach Warszawy i Łodzi dojrzewał wśród prostych ludzi inny nurt, nurt wiary w człowieka, w sens życia, w konieczność walki z niesprawiedliwością, w konieczność buntu. Wtajemniczenia, jakimi mnie karmiono w czasie wieczornych dyskusji, zdawały się jedyną reprezentować wielką rozmaitość prądów. Od dumnego, indywidualistycznego egotyzmu estety, aż do obojętności dla jednostki z jej strasznym ideałem „duży uła” włącznie. Cóż więc dziwnego, że dojrzewanie mego światopoglądu w klimacie tych sprzeczności, w oszołomieniu tych jakże bogatych dla szczeniakuwatego blondyna wrażeń, odbywało się jakby po powierzchni tylko skorupy; wewnętrzna samoobrona podświadomości wartości życia brała przecież we mnie górę i przez te „wtajemniczenia” przeszedłem dość szybko, jak przez koklusz. Pozostały tylko rzeczy wartościowe — wspomnienia o tych ciekawych typach, związane z nimi anegdoty no i pewna łatwość patrzenia na różne rzeczy poważnie pod kątem humoru, a to już jest niewątpliwie duży atut.

Podmalowawszy z grubsza tło warszawskiego entourage'u z tego okresu, przechodzę z kolei do opisu wybitniejszych postaci, z jakimi szczęśliwy los pozwolił mi spędzić tyle niezapomnianych chwil i którym tak wiele zawdzięczałem dobrego i złego... Wspomnienia te uwypukla może fakt, że beznadziejność goniącego resztkami sceptycyzmu, osiągała od czasu do czasu chwile wytryskującego wspaniałymi racjami humoru, humoru, bez którego cały ten ginący, schyłkowy świat byłby może nie do zniesienia.

Zacznę od wspaniałej postaci Fiszer. Któż bowiem bliski życiu artystycznemu dawnej Warszawy nie znał Franciszka Fiszer. Należał on do historii Warszawy intelektualnej, był niemal instytucją.

Kazimierz Bieżyński w świetnym artykule w „Nowinach Literackich” pisał: „Na przełomie zeszłego i bieżącego wieku Fiszer kończył już tracić swój spory majątek (z niepoślednią pomocą przyjaciół — oczywiście). Prowadził wówczas żywot mocno fantastyczny. Sympiał do południa. Wstawał — a to u niego znać: przestawał czytać książki w łóżku — dopiero nad wieczorem, po czym znów wyświeżony, wyelegantowany — wysoki, zgrabny, wytworny i przystojny, popieciaty blondyn o ciemnej brodzie — z kwiatem w butonierze, o świetnych manierach — wkraczał do kawiarni na pogawędkę, szachy i turniej dowcipów. Przed północą zaś można go było zastać zawsze w pewnej restauracji wcale nie podrzędnej, którą, gdy w noc zamknięto, on... płacąc specjalnego kelnera, siedział jeszcze długo sam w gabinecie i czytał znowu książki nieomal do rana. Potem — spacer w Alejach, wówczas Ujazdowskich, i kąpiel po japońsku we wrzątku, zaledwie otworzono łaźnię. Co taki fantastycznie pracowity, próżniak robiłby dzisiaj w Polsce?”

O pewnej uczcie egzotycznej, w której rzekomo brał udział na Krymie, Franz opowiadał z iście rabelaisowskim entuzjazmem:

— Gospodarz kazał zabić dziesięć baranów, poczwierować, dodać tysiąc cebul, czosnku, pieprzu i soli, i dusić to dwadzieścia cztery godziny. Kiedy podniesiono pokrywę, zapach sprawiał po prostu metafizyczną rozkosz. Był tak silny, że czterech spośród dwunastu biesiadników padło na miejscu trupem. Ścierwa wyrzuciliśmy na podwórze, a pozostałych ośmiu ze smakiem spożyło baraninę.

* * *

Ja oczywiście znałem Fiszerę z epoki późniejszej. Któż z bywalców dawnej „Udziałowej”, Jackowskiego, Lijewskiego i Gablera nie pamiętał tej malowniczej, olbrzymiej postaci, tego grzmiącego głosu. Kimże był ten tęgą Zeus z uczernioną brodą i nieodmiennym, płomienistym goździkiem w klapie podniszczonego surduta? Nie łatwo dać na to odpowiedź. Wiadomo było, że nic nie robił. Nie napisał żadnej książki ani felietonu, chwalił się nawet tym, że ręka jego „nie pohańbiła się żadną pracą”. Była w tym naturalnie swoista kokieteria, bo czyż umysł jego nie pracował stale? Czyż wszystkie jego słynne improwizacje i pełne humoru wypowiedzi nie były owocem wysiłku myśli, a żart, czyż nie jest czasem trudniejszy od skomponowania najpoważniejszego felietonu?

Fiszer był mistrzem w kpinach, a skala zasięgu jego humoru była rozpięta od rzeczy najbliższych do szczytów zawiśniętych dociekań. Gdyby ktoś chciał dokładnej klasyfikacji humoru fiszerowskiego, musiałby napisać osobną książkę. Każde spotkanie czy rozmowa z Fiszerem stawała się przygodą, wycieczką w nieznanne. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, jaką pointą, jakim



Słynny geograf Bazewicz

kawałem zakończy on swoje wywody. Humor jego miał strukturę niejako dwupoziomową. I jakkolwiek niski mógł być nieraz jeden z tych poziomów, drugi był zawsze bardzo wysoki.

W swoim studium o naturze śmiechu J. C. Gregory mówi, że śmiech jest zawsze rodzajem spadku, największą zaś ma wartość, gdy spada z wysokości. Śmiech Fiszerę był właśnie śmiechem tego rodzaju. Był on mistrzem improwizacji słownej, autorem niezrównanych historyjek i powiedzonek, których zresztą nie potrafił po raz drugi sam powtórzyć. Po prostu ich nie pamiętał, nudziły go. Cóż z tego, że z jego słynnej metafizyki nikt prawie niczego nie rozumiał, że jego system filozoficzny był zagadką dla łutych na cztery nogi wyszczekanych filozofów kawiarnianych. Sam on zresztą pokpiwał sobie z niej. Posiadał natomiast niewątpliwie cudowną zdolność nadawania nowego sensu i znaczenia słowom, dar naświetlania niespodziewanymi kątami widzenia, które dzięki magii jego słów stawały się nagle jakąś poezją, czymś zgoła nowym, nabierającym jakiegoś głębszego znaczenia. Działała tu nie tylko jego nieprzeciętna inteligencja, czytanie, entuzjazm do sztuki, najprzedniejszy humor, ale i samo ich podanie, głos, gesty, postawa. Tym się też niewątpliwie tłumaczy, że trzy pokolenia artystów i poetów szukały jego towarzystwa, znajdując w obcowaniu z nim odświeżającą, ożywczą i pobudzającą atmosferę, gdzie nuda, banał i bezpłodny sceptycyzm przemijały, a dojrzały i krystalizowały się myśli twórcze. I dlatego pewnie ze wszystkich tak licznych w owych czasach apostołów kawiarnianych, był on niewątpliwie postacią najbardziej wartościową.

„Humor Fiszerę był improwizacją”, jak pisał Boy. Rodził się doraźnie z podniecia rozmowy, towarzystwa, z uciechy wdzięcznych słuchaczy, z błogostanów biesiadnego stołu. Był twórcą w zakresie słowa: miał radość słowa, które w jego ustach rosnęło, potworniało, wyolbrzymiało się gargantuicznie w swojej niezrównanej obfitości, w melodii potężnego głosu, to znów zgęszczało się w celne i nieoczekiwane formuły. Nawet igrasstwo — na miarę pana Zagłoby — stawało się czystą poezją. Raz doraźnie powstały kawał stawał się legendą — stawał się własnością Warszawy.

Dalszy ciąg nastąpi



Pilot Stanisław Kiszka już po raz czwarty odbywa „pierwszy lot”: tym razem spryskuje sady karboliną.

MECHANIK wprawia w ruch śmigło. I znów „pierwszy lot”, jeszcze jeden w praktyce pilota Stanisława Kiszki. Pilot ten brał już bowiem udział:

w pierwszej akcji przeciwko szkodliwym zwierzętom, w pierwszym rozlewaniu z powietrza nawozów sztucznych i wreszcie teraz uczestniczy w pierwszym spryskiwaniu sadów grojeckich karboliną, zapobiegającą rozmnażaniu się szkodników.

W Związku Radzieckim lotnictwo już od dwudziestu lat współpracowało na szeroką skalę z rolnikami. U nas ta metoda jest nowa. Dlatego też w Kozietulach nie bardzo wierzą, że ekipa łączności miasta ze wsia P.L.L. LOT-u przybędzie z pomocą w opóźnionej już pielęgnacji drzew owocowych.

Ale teraz przekonali się. Kilkusobowy tłumek z zapartym tchem obserwował szybujący nisko aparat CSS-11.

Uda się, czy nie? A może okaże się, że stara, wypróbowana metoda ręcznego spryskiwania — jest lepsza? Fachowcy z PGR sprawdzali z całą skrupulatnością, oglądali każdą niemal gałązkę... Substancja pokrywała wszędzie korę równą, cienką warstwą.

Potem zaczęły się kalkulacje. Buzewicz i Krupa z PGR Stara Wśń obliczyli, że ręczne spryskiwanie 100 ha sadów z udziałem 7 ludzi i 3 par koni trwałoby 3 tygodnie. Koszt wyniósłby 7 tysięcy zł. Samolot wykonał to zadanie w 2 dni za 5 tysięcy zł.

W spółdzielni produkcyjnej Kozietul „operacja” zajęła 4 godziny. Spryskiwanie ręczne trwałoby tydzień.

W bieżącym roku zakres prac samolotów w rolnictwie i leśnictwie będzie 6-krotnie większy niż w roku ubiegłym. W samych tylko gospodarstwach rolnych na Lubelszczyźnie dokonają one nawożenia ok. 8 tysięcy ha.

Pomocne skrzydła coraz częściej szybują nad polami, lasami i sadami.

JANUSZ SKARZYŃSKI

Zdjęcia: JERZY BARANOWSKI

Do wypełnionego wodą zbiornika w samolocie dolewa się karboliny — i owadobójcza mieszanka jest gotowa.



Uczniowie szkoły w Kozietulach mają niemałą uciechę: „Popatrzcie, leci już nad sadami naszej spółdzielni...”



JESZCZE JEDEN

„Pierwszy Lot”

Za skrzydłami samolotu ciągnie się dwiema szerokimi smugami rozpylony roztwór owadobójczej karboliny





N I N G

Zaprawa jest dostosowana do stanu, w jakim znajduje się każdy poszczególny piłkarz, i jest właściwie treningiem indywidualnym.

Po zakończeniu spotkań mistrzowskich zaczyna się okres „rozładowania” graczy. Chodzi o to, że nie powinno się — z dnia na dzień — nagle zrywać z dużym wysiłkiem fizycznym, na który zdobywa się piłkarz. Ten ostatni etap składa się z 2—3 lekkich treningów, podczas których wykonujemy ćwiczenia zarówno pobudzające, jak odpowiadające.

Piłkarze węgierscy na ogół bardzo krótko pozostają bez treningu, ale nawet podczas tych przerw uprawiają uzupełniające dziedziny sportu.

Osobiście przypisuję — poza treningiem — ogromną rolę sportowemu i uregulowanemu trybowi życia. Gracz w piłkę nożną powinien — w miarę posiadanych możliwości — starać się prowadzić spokojne i pozbawione nałogów życie codzienne. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że piłkarz ma prowadzić życie pustelnika — ale... wszystko w miarę!

Poza tym duże znaczenie posiada i to, że wszyscy nasi gracze mają swoją codzienną, regularną, zawodową pracę. Jest rzeczą niedopuszczalną, by boisko było dla zawodnika jedynym miejscem jego pracy i by nie miał zadnego innego zajęcia. Największą wadą zawodowego piłkarstwa w zestawieniu z amatorskim — jest właśnie to, że zawodowy gracz przyzwyczaja się do nieróbstwa, śleje się próżniakiem i dlatego bardzo często szybko kończy swoją karierę.

Jest więc rzeczą szczególnie ważną, byśmy byli ludźmi wartościowymi i nie tylko na boisku, lecz również i przy warsztatach naszej pracy.



NAZIM HIKMET

LEGENDA O MIŁOŚCI

AKT DRUGI
Obraz trzeci

(Pokój Szirin. Noc. Szirin, przejęta, chodzi po pokoju. Wchodzi Ferhad. Szirin stoi do niego tyłem).

FERHAD: Szirin!

SZIRIN (odwraca się): Ferhad!

(Idą ku sobie. Zatrzymują się. Patrzają sobie w oczy).

FERHAD (do siebie): Patrz Ferhadzie... Oto piękno! Czyż najpiękniejszy ornament może mierzyć się z ludzką twarzą?

SZIRIN (do siebie): Ma takie delikatne i czarne wąsy!

FERHAD (do siebie): O Ferhadzie, Ferhadzie. Jak łatwo udało ci się zdobyć Szirin. A należałoby góry poruszyć z miejsca...

SZIRIN (do siebie): Jest taki zgrabny... ma takie szeregowe barki!

FERHAD (do siebie): Należałoby pustynie przebyć...

SZIRIN (do siebie): Znowu weźmie mnie za rękę...

FERHAD (do siebie): Pytać o nią przelatujące żurawie...

SZIRIN (do siebie): I pocałuje...

FERHAD (do siebie): Siedzieć w ciemnicy...

SZIRIN (do siebie): Weźmie mnie za rękę i pocałuje...

FERHAD (do siebie): Należałoby bój stoczyć z żelaznym wojskiem, a ty? Coś ty zrobił, aby zdobyć Szirin?

SZIRIN (do siebie): To ty zdecydowałaś się rzucić w Ferhada jabłkiem, to ty zdecydowałaś się powiedzieć mu „spójrz w oczy Szirin”.

FERHAD (do siebie): No i czyż może najpiękniejszy ornament równać się z ludzką twarzą?

SZIRIN (do siebie): Ty wezwałaś go do sypialni...

FERHAD: Aż boli taka piękność!

SZIRIN (do siebie): A gdybyś ty, Szirin, nie była siostrą monarchini, a zwyczajną, ubogą dziewczyną z Arzenu, czy rzuciłabyś w niego jabłkiem?

FERHAD (do siebie): Ej, Ferhadzie, czymże się troskasz?

SZIRIN (do siebie): Nawet mi pomyśleć trudno, jakby to było, gdybym była zwyczajną, ubogą dziewczyną...

FERHAD (do siebie): Ferhadzie! Przytłacza cię taka uroda...

SZIRIN (do siebie): Tak, wówczas także postąpiłabym tak samo — rzuciłabym w niego jabłkiem, powiedziałabym „popatrz Szirin w oczy”.

FERHAD (do siebie): Jak łatwo udało ci się osiągnąć Szirin!... Jak prosto! A jednak nie, Ferhadzie, nie można osiągnąć Szirin! Jest, tak jak przedtem, nieosiągalna i daleka! Och, Ferhadzie, zobczyłeś ze swej drogi...

SZIRIN (do siebie): Takie czarne wąsy!

FERHAD (do siebie): Ferhadzie, przyjacielu, powiedz mi, czym się tak trapisz!

SZIRIN (do siebie): Weźmie mnie za rękę...

FERHAD (do siebie): Stoi przed tobą potulnie... Śmieje się Ferhadzie!

SZIRIN (do siebie): Weźmie za rękę i pocałuje...

FERHAD (do siebie): Śmieje się, śmieje się, Ferhadzie! Na co czekasz?

SZIRIN (do siebie): I pocałuje...

FERHAD (do siebie): Za rękę wezmę i pocałuję, jak wtedy... (Ferhad bierze Szirin za rękę i całuje ją. Szirin wyrzuca się i siada na sofie. Ferhad stoi nadal. Przed sofą, na ogromnym, srebrnym półmisku leżą jabłka. Szirin bierze jedno i pokazuje Ferhadowi).

SZIRIN: Widzisz to jabłko, Ferhadzie? Jest z tej samej jabłoni, z której zerwałam jabłko, aby nim w ciebie rzucić... Wszystkie te jabłka rosły na tej jabłoni... (powoli obiera jabłko) Ferhadzie! Tak się bałam, że dziś nie przyjdiesz...

FERHAD: Bałaś się? Wiedziałaś więc!

SZIRIN: O czym wiedziałam? Powiedz!

FERHAD: Że tej nocy Eszref będzie trzymał wartę u drzwi.

SZIRIN: Wiedziałam...

FERHAD: Niania mi pomogła. Z tej strony, obok twojej sypialni, są potajemne schody...

SZIRIN: Tak, są... No i co z tego! Po co nad tym rozmyślać?

FERHAD (zamyślony): Niania... Eszref... i te potajemne przejście... Jak prosto! Jak łatwo!

SZIRIN: Rozumiem... Ale powiedz, proszę, czy niezależnie od tego, jak się dostałaś do pałacu, to, że się dostałaś, nie każe ci o wszystkim zapomnieć? Czyż radość z osiągnięcia celu nie usprawiedliwia środków, jakich używałaś, aby się tu dostać? Widzisz mnie — czy to nie dosyć, aby zapomnieć o niani i schodach?

FERHAD: Zobaczyć ciebie — to zobaczyć świat! Zobaczyć twoją twarz... usłyszeć twój głos... Dotknąć twoich włosów... To tak jak zobaczyć świat, dotknąć go rekoma... Ale to tajne przejście. Eszref i niania... nie umiem o tym zapomnieć! Tak mi ciężko! Cóż ja zrobiłem? Bez ryzyka, bez wysiłku... Nie postawiłem życia na kartę, nie naraziłem wolności... Niczego nie poświęciłem, Szirin, aby ciebie osiągnąć...

SZIRIN: Niania mówiła, że obiecałaś Eszrefowi...

FERHAD: Taki drobiazg. Obiecałem odsłonić przed Eszrefem tajemnice mego mistrzostwa, którymi nie posługuję się już od dawna.

SZIRIN: Czy to prawda, że wkrótce minie już piątą miesiąc, odkąd ty przestałaś pracować?

FERHAD: Nie mogę! Od tamtej chwili... Biorę pędzel, maluję tulipan, ale gdy tylko na niego spojrzę, widzę, że nie jest ciebie godny... I ścieram tulipan. Gdybym mógł w jednym tulipanie pomieścić cały świat, wszystkie jego kolory i blaski, wszystkie radości, i smutki, i nadzieje! Gdybym mógł w nim pomieścić cały świat — ciebie, Szirin! Ale nie mogę pomieścić ciebie w tulipanie i sztuka wydaje mi się czymś niegodnym.

SZIRIN: A więc nie tęsknisz do mnie?

FERHAD: Ja nie tęsknię?

SZIRIN: Gdybyś tęsknił, potrafiłbyś stworzyć mnie w tulipanie.

FERHAD: A czy wiesz, Szirin, jak się maluje tulipan? Jak układa pieśni, jak pisze wiersze, jak buduje dom, jak kuje żelazo, jak uprawia ziemię!... Wizerunek tulipana wymaga swoistych metod, swoistej harmonii, ład, proporcji. A moja tęsknota nie ma wymiarów, nie ma kresu, nie ma granic!... Malarz, który chwali się, że potrafił przedstawić w tulipanie ukochaną postać, wierz mi, Szirin, malarz, który chwali się, że potrafił powtórzyć w tulipanie urodę umiłowanej, taki malarz jest kłamcą lub głupcem. Jedno z dwojga — albo sztuka mu się pomieszała z ukochaną, albo kłamie na głos, potajemnie znając prawdę. Jak znikoma musiała być tęsknota, która by się pomieściła w rysunku! Zaledwie tysięczną część naszej tęsknoty możemy pokazać w naszych malowidłach! Tak — nauczyłem się już — nasza sztuka jest bezsilna.

(Szirin przekrawa jabłko na pół i jedną z połówek podaje Ferhadowi).

SZIRIN: O, ta połowa — to ty, a druga — ja... Dłaczego nie usiądziesz?

FERHAD: Pozwól mi się napatrzeć...

SZIRIN: Czy z bliska nie jestem piękna?

FERHAD: Z bliska i z daleka, zawsze, wszędzie, skądby nie spojrzeć jesteś piękna, piękna jak nasz turecki język, którym mówisz, jesteś przepiękna, Szirin!

SZIRIN: No to dlaczego nie chcesz usiąść obok mnie, jak na ławie, tuż obok, twarzą w twarz?

(Szirin bierze Ferhada za rękę i przyciąga do siebie. Siadają).

SZIRIN: Zawsze muszę pierwsza rzucić jabłko? Powiedz...

FERHAD: Jesteś spadkobierczynią sułtana.

SZIRIN: O tym już myślałam, Ferhadzie.

FERHAD: Myślałaś?

SZIRIN: Gdybym była zwykłą, ubogą dziewczyną z Arzenu...

FERHAD: Co byś zrobiła?

SZIRIN: Rzuciłabym w ciebie jabłkiem... powiedziałabym: „spójrz mi w oczy”!

FERHAD: Jesteś tego pewna, Szirin?

SZIRIN: Jestem pewna.

FERHAD: O, gdybyś ty była zwykłą, ubogą dziewczyną z Arzenu!

SZIRIN: Cóż by się zmieniło?

FERHAD: Byłabyś mi równa, Szirin. Ale ty jesteś córką sułtana, a ja prostym, nieznanym rysownikiem. Nie gardzę jednak moim rzemiosłem! Nie oddałbym go za władzę nad całymi Indiami.

SZIRIN: A nazwałaś je niegodnym.

FERHAD: Tak, niegodnym. Nie potrafię pomieścić w tulipanie mej tęsknoty. Ale moje rzemiosło nauczyło mnie rozkoszować się pięknem i przy pomocy linii i barw odtwarzać na kamieniu świat.

SZIRIN: Nie jestem córką sułtana, nie jesteś malarzem! Nie mi do twoich tulipanów! Jesteś dla mnie Ferhadem, a ja dla ciebie — Szirin! Jestem gotowa. Zabierz mnie — uciekajmy!

FERHAD: Coś ty powiedziała?

SZIRIN: Mój Ferhad! Ferhad... Mówię ci bez obstrukcji, bez wykrętów, bez ogródek: Ferhadzie! Kocham cię! Należę do ciebie! Jestem gotowa! Zabierz mnie — uciekajmy! I tym razem nie ma tu ani nianki, ani sług — nikt nie zgodzi się nam pomóc... Są tylko drzwi sypialni, a za drzwiami schody, jak most, cieńszy od włoska, ostrzejszy od miecza, jak most nad przepaścią... Jeżeli nas schwytają, zabiją cię albo wrzucą do lochu, gdzie za życia gnij będziesz... Słyszysz? Żebyś była twoja, musisz postawić na kartę swoje życie. Jestem gotowa. Ferhadzie, uciekajmy!

FERHAD (chwytając Szirin za rękę): Uciekajmy!

(Idą w stronę proscenium. Ferhad zatrzymuje się).

FERHAD: Czekaj!

SZIRIN: Co? Dlaczego?

FERHAD: Muszę zapisać tajemnicę zielonego koloru tulipanów. Obiecałem Eszrefowi...

(Ferhad lewą ręką trzyma nadal rękę Szirin, prawą pisze na skórze gazeli).

FERHAD: Na pewno niania tu przyjdzie i nie widząc nas zawoła Eszrefa. Przeszukają wszystko i znajdą tę zapiskę.

SZIRIN: Puść mnie... pisz spokojnie.

FERHAD: Nie, nie puszczę...

SZIRIN: Boli mnie... Puść!... Nie, nie, nie boli! Nie puszczaj!

FERHAD (skończył pisać): Chodźmy stąd!

(Podchodzą do proscenium. Ferhad jedną ręką zasuwa kurtynę. Bierze Szirin na rękę).

SZIRIN: Pocałuj mnie!

FERHAD: Nie... Teraz jesteś moja! Jesteś moja i nie mogę całować cię jak złodziej!

(„Legenda o miłości” wraz z drugą sztuką Nazima Hikmeta, ukazała się wkrótce w wydaniu książkowym nakładem P.I.W. Polska prapremiera tej sztuki odbędzie się w Teatrze Nowej Warszawy).

Tłumaczyła z rosyjskiego: EWA FISZER

UPRASZCZANIE METOD

PAWEŁ JASIEŃCICA

I RUDNO by mi było odpowiedzieć na pytanie, w jakim laboratorium Instytutu Immunologii spędziłem najwięcej czasu.

Wiele godzin, a nawet dni, tkwiłem w Dziale Antybiotyków oraz we włazowanej doń pracowni gruźlicy. dr Adama Bekierkusta. Są to cztery niezbyt duże pokoje, położone obok siebie przy korytarzu drugiego piętra.

Od razu przy pierwszej wizycie zastanowił mnie widok dość nieoczekiwany. Przy stole pod oknem wysoka blondynka bardzo pilnie zajmowała się wycinaniem małych kółeczek z bibuły. Pracownicy składała ją w kilkoro, umieszczając na drewnianym, przyciskała mościeniem dziurkaczem, po czym starannie odkładała krążki do szklanego spodeczka. Nazbierała się już spora kupka.

Z przyległego pokoju wyszedł mgr Marian Mordarski. Przystanął obok i przez chwilę obserwował wyniki pracy przedstawionej już Czytelnikowi asystentki technicznej — Marii Chudzikiewicz.

— Ale popatrz, Marysiu — powiedział. — To nie będzie dobrze. Brzegi nie są równe, włókna bibuły ciągnęły się za ostrzem. Strefa zamawiania nie wypadnie regularnie.

— Wiem, ale już sama nie mam pojęcia, co robić. Cisnę tak, że ręka boli i ciągle nie wychodzi.

Teraz mgr Mordarski postanowił użyć siły męskiego ramienia. Umieszczał bibułę na podkładce, przystawiał dziurkacz i lupił po nim jakimś innym drzewem. Zaczęłam mu pomagać z takim skutkiem, że już wkrótce brzegi metalowego ostrza pozaginaly się do środka. Zapanowała konsternacja.

— Inaczej nie damy rady, tylko trzeba iść na dół, do Siarczyńskiego. Pocekalicie na mnie trochę — oświadczył Mordarski.

Po upływie kilkunastu minut zjawił się znów. Niosł spodeczek pełen idealnie równych krążków. Symetrii ich brzegów nie psuło ani jedno sterzące włókienko.

— Cóż to za cudotwórca, ten pan Siarczyński? — zapragnęłam się oświecić.

— Technik, ślusarz precyzyjny, majster, że aż ha! Warto, żeby go pan poznał.

Obiecałam to sobie na później. Na razie bardzo byłem ciekawy, co też to dalej będzie z tymi kółeczkami o niespełna centymetrowej średnicy każde. Maria Chudzikiewicz zaniosła je do sąsiedniego pokoju. Pod ścianą widniała tam na stole waga.

Waga! Jakże słabo określenie to pasuje do opiewanego przedmiotu. Posiadał rozmiary mikroskopu, błyszczał od niklu i mosiądzu, a na samym froncie pysznił się tabliczką z napisem: „Made in Czechoslovakia“. Zgrabna szafka szklana szczelnie okrywała cały aparat.

Łatwo pojąć, że ceremonia ważenia nie mógł się odbywać zbyt szybko. Zwłaszcza że chodziło o ustalenie średniego ciężaru owych krążków z bibuły.

Pierwszy z nich centrum naszego globu przyciągało z siłą wyrażającą się liczbą: 0.0064 G; drugi — 0.0068 G, trzeci — 0.0070 G. A zatem średnia wyniosła: 0.0067 G.

Obiekty opisane aż tak dokładnie Maria Chudzikiewicz schowała do osobnego naczynka i gdzieś poniosła. Po chwili ujrzelismy je znów. Barwa ich lekko pociemniała, były bowiem nasycone płynem. Waga pouczyła nas wkrótce, że pierwszy wchłoniął 0,0201 grama cieczy, drugi — 0,0152 g, a trzeci — 0,0136 g. Ustalenie tego nie przyczyniło zbyt wielu kłopotów, bo wiadomo przecież było, ile ważył każdy z nich w stanie suchym.

Po upływie pewnego czasu mogłem się nacznie przekonać, jaki był sens tych dziwnych i skomplikowanych zabiegów.

Wcześniej rano zjawiłem się w pracowni. Maria Chudzikiewicz zaraz zaprowadziła mnie do swego stołu i kolejno uniosła blaszane pokrywki dwóch „płyt Petriego“ (czyli płaskich, okrągłych talerzyków szklanych) wypełnionych pożywką stałą, na której powierzchni hoduje się bakterie.

Na pierwszej z nich wysiano ropotwórczą bakterie, zwaną gronkowcem złocistym. Kolonia utworzyła jednolitą, białawy nalot o dość delikatnym wyglądzie. Na jego powierzchni, w jednakowych od siebie odległościach, leżało pięć znanych nam już krążków, z których każdy nasycony był jednym z pięciu głównych antybiotyków. A więc: penicylina, streptomycyna, chloramfenikol, aureomycyna i terramycyna. Naokoło każdego z nich widniała szersza lub węższa kolistą aureolą wiśniowej barwy. To lek, zawarty w krążku, zahamował wzrost bakterii i przez to samo odsłonił tło pożywki. Po rozłożeniu tych stref zahamowania można było bez trudu określić skuteczność poszczególnych antybiotyków w walce z daną bakterią.

Najdzielniej sobie poradziła, najszerzej rozparła się penicylina. Jej strefa utraciła nawet kształt dokładnego koła, sięgnęła bowiem z jednej strony aż do pionowej krawędzi

plytki, z drugiej zaś dotknęła niemal „lebensraumu“ streptomycyny. Ta ostatnia podzielała najstabiliej. Otaczające ją wiśniowe pole miało najkrótszy promień.

Druga płytka pokryta była kolonią też mniej więcej jednolitą, o barwie miejscami jakby z lekka zmiennej, opalizującej. Ogólne wrażenie było dość nieprzyjemne. Coś w rodzaju białej-zielonkawo-niebieskawej warstewki tłustej ropy. Tym razem penicylina wykazała całkowitą bezsilność. Nasycony nią krążek spoczywał wprost na opisanej przed chwilą powierzchni, zahamowanie nie nastąpiło wcale. W danym wypadku najskuteczniejszym środkiem okazała się chloramfenikol, która poprzednio była na drugim miejscu.

Maria Chudzikiewicz pozwoliła mi przyrzeć się wynikowi swego doświadczenia, po czym zamknęła płytki i wyszła do drugiego pokoju. Sięgnąłem po notes. Chcąc wszystko dokładnie uwiecznić, ponownie zdjęłem blaszane pokrywki i zabrałem się do pisania. Nie wiem, ile czasu upłynęło — może dwie albo trzy minuty. Poczulem nagłe ucisk w gruczołach pod dolną szczęką, jakby mi kto dwa palce tam wsadził. Usta pełne śliny — wyraźnie zbierało się na wymioty. Zanościło skądś okropnym zaduchem.

— Co to tak cuchnie? — zwróciłem się do asystentki, która właśnie weszła.

— Cuchnie? Ja nic nie czuję.

Podezrza bliżej, spojrzała na stół i szybkim ruchem nałożyła pokrywki na płytki.

— Bo też nikt nie robi tak jak pan! Tak się płytek nie zostawia.

— Czemu?

— Bo może nastąpić zakażenie hodowli z powietrza.

Mówiąc to na oścież otworzyła okno, za którym pysnił się blaskami bezchmurny dzień wiosenny. Szeroką falą jak samo życie, popłynęło powietrze. Pierwszy raz, odkąd istnieje, poczułem słońce — nosem.

Owa druga płytka mieściła bakterie zwaną „pałeczką ozeny“. Za chwilę pomówimy o niej nieco obszerniej.

W tym doświadczeniu — mówiła moja informatorka i pogromczyni — chodzi o badania jakościowe. Ropę otrzymywaną z kliniki można od razu wysiewać na płytki i dawać krążki, co wykazuje, który antybiotyk działa leczniczo. To by nam znacznie skróciło czas zabiegów.

Dalsze objaśnienia wtajemniczyły mnie w szczegóły próby, której fazę wstępna obserwacja przed paru dniami, kiedy ważono krążki. Zostały one nasycone antybiotykami w takim stężeniu, jakie się spotyka w krwi chorych podczas normalnej kuracji. Obliczono je po specjalnych i zawiłych rachunkach. Precyzyjna waga pozwala się przekonać, ile płynu wchłania każde kółko. Wszystkie potrzebne dane są więc matematycznie uchwytne. Eksperyment powinien zatem doprowadzić do uproszczenia metody pracy.

Późniejsza rozmowa z dr Bekierkuntem wyjaśniła, że trzeba będzie brać pod uwagę jeszcze jeden wielkiej wagi czynnik, mianowicie ilość bakterii.

Nieustanne dążenie do upraszczania metod jest czynnością bardzo pożyteczną, o czym w Dziale Antybiotyków przekonać się szczególnie łatwo, ponieważ ciągle trwają tutaj zawile i żmudne doświadczenia.

Niedawno przysłano z Kliniki wymaz z pochwy chorej dziewczynki. Oddział Diagnostyki wykrył w nim nieznanego typu „maczugowce“. Wyhodowano je. Teraz trzeba było sprawdzić, jakie stężenie streptomycyny zahamuje ich wzrost. Zadanie to powierzono Marii Chudzikiewicz, która zgodziła się na moje towarzysztwo przy pracy.

Zabralismy rozmaite statywki, probówki i inne przyrządy, przynależny sprzęt i ruszyliśmy na trzecie piętro, do „kuchni pożywki“. Na zakręcie schodów natknęliśmy się na docenta i paru jego kolegów. W grupie wymienionych person rozległy się gromkie oklaski.

— Brawo, brawo, panno Marysiu! Miło widzieć, zaprzęgała pani literata do pożytecznego zajęcia.

Dwie szklane kolbki wstawione zostały do gorącej kąpieli w celu rozpuszczenia zawartej w nich pożywki, co następuje w temperaturze 100 stopni C. Po krótkim czasie, zabierając gotowy płyn, przechodzimy do małego pokoiku wyłożonego kafelkami, gdzie pracuje się w warunkach jałowych. Towarzyszka moja wlewa do sześciu miseczek przygotowany uprzednio roztwór streptomycyny. Teraz szybko dodaje się ciekłą pożywkę i odwołaną krew barana. Ponieważ mieszanina krzepnie już przy

ARTUR MIĘDZYRZECKI

DEDYKACJA NA WIOSNĘ

Ach, piękniejsze, piękniejsze na świecie są rzeczy
Niż Klondajk wymyślone i palmy nad Nilem.
Ja tam, wśród egzotycznych piasków i dorzeczy,
I chodzę, i byłem, i bardzo tęskniłem.

I pamiętam sny tamte, sny grubo ciosane
W drzewie, które szumiało nad Wisłą, daleko.
Ucz się kochać, mój chłopcze, warszawski poranek,
Surowe nasze niebo i brzegi nad rzeką;

I ziemię nieobeszłą, najdroższą, wiślaną,
Piach Mazowsza, i buki wyniosłe, i sosny.
A jeżeli ci przyjdzie w Wilanowie stanąć,
Z drzew własne wybierz drzewo i oddaj z nim rośnij.

A z Helu zapamiętaj wodę o zachodzie
I wrzosa rozłożyste, i zapachy ziemi.
I jeszcze ucz się pilnie w oliwskim ogrodzie
Rozróżniać liść od liścia, zieleni od zieleni.

Bo to jest bardzo ważne i zawsze zostaje
Na dnie serca i w głębi przymykanych powiek.
I zobaczysz, zobaczysz jak piękna się staje
Strona, którą miłuje chodzący nią człowiek.

Odczujesz wtedy radość, która więcej znaczy
Od zachwyty nad Klondajk i wielbłądzia skórą;
Bo bliższa jest nad Wisłą zaduma spawaczy
Niż baśń Alaski nawet i południa urok;

I ogromna jest gwiazda acetylenowa
Nad oknem, które gaśnie, nad przedmieścia lampą.
Nie zapomnij i o nich, gdy będziesz wędrował,
A teraz, bywaj zdrowy. I napisz mi stamtąd.

temperaturze 45 stopni, więc natychmiast niemal w miseczkach tworzy się masa, przypominająca bardzo gładką płytkę koralowej barwy. Przestrzeń życiowa dla hodowli bakterii gotowa. Siódme naczynie pozostaje jako kontrolne, w wypełniającej je pożywce nie ma antybiotyku.

Wracamy na dół, ostrożnie niosąc opisane przedmioty. Miseczki na krótko trafiają do suszarki, po czym drucikiem, eż, asystentka wysiewa na ich powierzchni zarazki, czerpane z dostarczonej przez diagnostykę probówki.

Nazajutrz rano na wszystkich płytkach ze smutkiem oglądamy szeregi izolowanych przeważnie, drobnutkich, szaro-różowej barwy pęcherzyków. Gdziekolwiek zdążyły już one zlać się w bardziej jednolite smugi.

Bakterie wyrosły na wszystkich pożywkach, bez względu na użyte w nich stężenie antybiotyku. Szczep okazał się bardzo mało wrażliwy na streptomycynę.

Zabieg, mający znaczenie dla jednej tylko chorej osoby, już zabrał dwa dni czasu i musi być jeszcze powtarzany. Stężenie streptomycyny będzie się oczywiście powiększać, aż do przypuszczalnego skutku.

Bywają, i to często, doświadczenia jeszcze bardziej kłopotliwe.

W jednej z sal Działu Antybiotyków szklana ściana izoluje niewielką przegródkę czy kłitkę. Któregoś przyjemnego poranka zauważyłem tam młodą osobę, która niezmordowanie brzękała mnóstwem probówek. Uchyliłem drzwi i poprosiłem o pozwolenie wejścia.

Owa młoda osoba okazała się Alicją Jędrzejewską, od roku piastującą godność magistra biologii. Zajęta była przygotowywaniem roztworów, przy których pomocy miało być ustalone, jakie stężenie penicyliny i streptomycyny hamuje wzrost wspomnianej już pałeczki ozeny. Bakterię tę podejrzewa się o to, że jest sprawcą cuchnącego kataru nosa.

W szerokim statywie blaszanym mieściła się istna bateria probówek, uszykowanych regularnie niczym zwarty oddział. Sprawiał on wrażenie nieco hajdamackie, gdyż naczynia miały rozmaite wymiary, a korki ich poowijane były bibułą, strzępiącą się gazą. Do zasadniczej próby posłużyły miły sześćdziesiąt cztery probówki, ustawione na samym froncie w czworobok. Do tego doliczyć trzeba niezbędną „rezerwę“ — naczynia pomocnicze i kontrolne. Razem było tych ampulek równo sto osiem. Nie należy sobie wyobrażać, iż mieszczące się w nich roztwory zostały tu dostarczone w stanie gotowym. Nic podobnego! Tylko bulion był we wszystkich jednakowy, sprawę wszelkich dodatków mgr Jędrzejewska musiała załatwić sama. W każdej z probówek miała powstać inna, ściśle obliczona mieszanina penicyliny i streptomycyny.

Na stole nieustannie szumiał palnik. Przy każdym otwarciu lub zamknięciu probówki należało wsunąć w ogień jej brzegi. To samo odnosiło się do pipetki przy każdej manipulacji. Na upartego można by obliczyć, ile takich ruchów trzeba było koniecznie wykonać w czasie doświadczenia, które dotyczyło jednego chorego człowieka, gdzieś tam w Klinice czekającego na ratunek.

Nadszedł moment najbardziej, moim najmniejszym zdaniem, dramatyczny. Na stole pojawiła się szklana kolbka z zawieszoną bakterią. Z niemałym zdumieniem patrzyłem, jak mgr Alicja zanurza w tym płynie ustną pipetkę,

lekko wciąga powietrze i jak groźna ciecz podnosi się we włoskowatej rurce.

— Nie boi się pani wciągnąć do ust? Do każdej probówki kapnęły dwie krople bakterijnej zawiesiny.

Nazajutrz przypadało święto, ale nie dla wszystkich. Ścisłej: nie wszyscy pracownicy Instytutu mogli cały dzień przeznaczyć na odpoczynek.

Zgodnie z zawartą poprzedniego dnia umową około godziny dziewiątej mieliśmy się zebrać przy ławeczce przed głównym wejściem. Alicję Jędrzejewską i jej koleżankę, mgr Eugenję Łapińską, spotkałem na rogu ulicy Chałubińskiego, przy kiosku „Ruchu“. Zaraz też nadciągnął i szef Działu Antybiotyków, dr Bekierkunst.

W pracowni mgr Łapińska wyjęła z ciepłarki swoich sto siedemdziesiąt krótkich i szerokich probówek, których dotąd nie widziałem. W każdej mieściły się dwa szkiełka. Należało je teraz wyjąć, ułożyć na szklanych płytach, opierając ukośnie, dać im przeschnąć i nazajutrz skontrolować wynik eksperymentu. Dotyczyło on warunków wzrostu prątków gruźlicy w środowisku różnych aminokwasów i soli amonowych, gdyż pragnie się na drodze doświadczenia stworzyć takie warunki, jakie prątek napotyka w żywej komórce ludzkiego organizmu. To dopiero dostarczy okazji do radykalnego utrudnienia mu życia.

Mgr Jędrzejewska także przyniosła swój wczorajszy statyw. W probówkach widniał płyn klarowny, całkiem podobny do słabej, „oficerskiej“, lecz starannie przedcedzonej herbaty. Tylko w czterech kontrolnych — to zn. tych, co zawierały sam bulion i bakterie, bez dodatku antybiotyków — osiadła na dnie gęsta masa, z której przy poruszeniu naczyniem unosiły się w górę włókniste spirale. A więc w tych czterech zarazki rozmnożyły się, w innych zaś nie. A zatem najstabsza nawet z użytych mieszanin penicyliny i streptomycyny hamuje wzrost pałeczki ozeny.

Czy taki wynik doświadczenia można uznać za dodatni? Pozornie tak, ale w gruncie rzeczy wcale nie całkiem. Jutro trzeba będzie próbę powtórzyć, „schodząc w dół“, czyli starając się wykryć roztwór najstabszy, a jeszcze skuteczniejszy. Nie można przecież nasycać ludzkiego organizmu lekami ponad konieczną i możliwą miarę.

Należy też ciągle pamiętać o tym, że doświadczenie to, aczkolwiek niewątpliwie prowadzi do pewnych wniosków natury ogólnej, jest zasadniczo miarodajne tylko dla jednego szczepu bakterii, bo inne mogą posiadać odmienną wrażliwość. Starania o jak największe uproszczenie metod pracy są więc absolutnie niezbędne.

Ze wszystkiego co tu napisałem mógłby ktoś wnosić, że Dział Antybiotyków stanowi jedno wielkie laboratorium, w którym bez ustanku trwa samo tylko szukanie. Nie byłoby to słuszny wniosek. Ciągłe, coraz to bardziej subtelne eksperymenty są istotnie zjawiskiem od razu rzucającym się tu w oczy. Ale w wielu ważnych sprawach udało się już osiągnąć wyniki natury ogólnej, dotyczące najwyższego celu wszystkich tych badań, czyli skutecznego leczenia cierpiących. Niedawno właśnie wyjaśniono tu kwestię bardzo doniosłą, ale o tych rzeczach trzeba jednak osobno porozmawiać.

Dołożenie nastąpi

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZĄ

CZYNNEM WITAMY DZIEŃ 1 MAJA



Inicjatorzy czynu 1-majowego, B. Jakszewski i R. Bochyński już następnego dnia po zebraniu rozpoczęli realizować swe zobowiązanie

Przed kilkoma miesiącami Komenda Główna „Służby Polsce” powierzyła spółdzielni im. „9 Sierpnia” w Warszawie (ul. Prózna), sprawę przeobrażenia trzech samochodów ciężarowych „Star-20” na wozy propagandowo-agita-



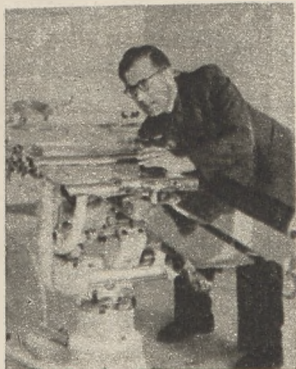
Grupa pracująca nad zrealizowaniem czynu 1-majowego: (od lewej) Malaczewski, Puternicki, Jakszewski, Niedźwiedziński, Bochyński i Chełm

W TROSCIE O ZDROWIE

Nowa Huta otrzymała w kwietniu br. nowy szpital z oddziałem chirurgicznym i internistycznym. Oba oddziały wyposażone są w najnowocześniejsze urządzenia, aparaty i sprzęt lekarski, które zapewniają doskonałe możliwości leczenia. Dalsze pawilony szpitala, w których mieścić się będą pozostałe oddziały specjalistyczne, są obecnie w budowie.

Oddział chirurgiczny tego szpitala otrzymał m. in. uniwersalny stół operacyjny, którego ruchome płaszczyzny pozwalają w czasie operacji ustawiać najwygodniej i właściwie chorego poddawane go zabiegowi.

Franciszek Walczak, Kraków



Dyr. Szpitala w Nowej Hucie, dr St. Kostarczyk, sprawdza działanie uniwersalnego stołu operacyjnego

HOKEJ NA TRAWIE NA WSI

Pierwszym i bodaj jedynym w kraju Ludowym Zespołem Sportowym posiadającym drużynę hokeja na trawie

jest LZS w Rogowie (pow. żniński). Sekcja tego niezbyt rozpowszechnionego w Polsce sportu powstała w Rogo-



Sekcja hokeja na trawie w LZS w Rogowie

wie w roku 1948 i ma na swym koncie wcale ładne osiągnięcia. Rozegrała już ponad 70 spotkań, w tym kilka z drużynami tej klasy, co np. gnieźnieńska „Spółnia” lub AZS — Warszawa, a w roku ubiegłym zajęła trzecie miejsce na ogólnokrajowych mistrzostwach juniorów w Krakowie.

Patronat nad drużyną LZS w Rogowie sprawuje gnieźnieńska „Spółnia”.

Szkoda tylko, że sportowcom z Rogowa nie zawsze przychodzi z pomocą Rada Zrzeszenia LZS w Bydgoszczy i że zdarzają się wypadki, jak np. w lutym tego roku, że na mecz w Toruniu zawodnicy musieli jechać na własny koszt. A przecież ambicja i zapał młodych LZS-owców w pełni zasługuje na pomoc i opiekę.

Stanisław Czabański, Żnin

CENTRALNY INSTYTUT ROLNICTWA — MÓZGIEM ŻUŁAW

Plaska jak stół równina. Jak okiem sięgnąć — ani jednego pagórka. Tylko rowy i kanały, gdzieś wierzby pochylone nad mętłą wodą. Żuławy...

Przed paru tysiącami lat — jak twierdzą uczeni — wody Bałtyku zalały dzisiejszy Heł i wdarły się w głąb lądu. Wisła zmieniła wówczas swój bieg, skierowała się bardziej na północ i do nowopowstałej zatoki poczęła nanosić piasek i części łąskie. A gdy wreszcie Bałtyk ustąpił, z odmetu wód wyłoniły się wielkie obszary nad podziw żyznego błota.

Ludzie, chcąc je wykorzystać, wybudowali kanały i stworzyli skomplikowany system osuszający, który zamienił błota w urodzajne pola.

W czasie ostatniej wojny hitlerowcy cofając się wysa-

dziili w powietrze stację pomp i uszkodzili wały. Część Żuław znów zalała woda. Ale już w pierwszych dniach po wojnie ruszyli na Żuławy robotnicy i chłopcy. Uruchomili uszkodzoną stację pomp, przekopali tysiące rowów melioracyjnych. Równocześnie przybyli tu polscy naukowcy z Centralnego Instytutu Rolnego w Starym Polu, z inż. Pszczółkowskim na czele. Ich badania i doświadczenia zmierzają do wynalezienia takiego systemu melioracyjnego, który przy skasowaniu nadmiernej ilości rowów, pozwoli na zmechanizowanie rolnictwa, a równocześnie na dokładniejsze nawadnianie i osuszenie gleby.

CIR bez przesady nazwać można mózgiem Żuław, bo tu właśnie rodzą się naukowe sposoby najlepszego wyko-

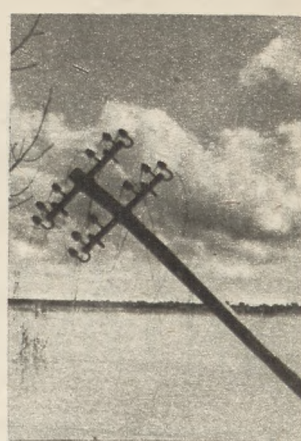
rzystania tej ziemi, prowadzi się badania nad aklimatyzacją roślin, walce z chwastami, propaguje się nowe metody uprawy, hodowli itp.

Rezultatem badań specjalistów z CIR jest m. in. zwiększenie na niektórych terenach plonów buraka cukrowego o 20 procent. Ale to nie zadowala pracowników CIR. Nieustannie prowadzą badania, chcąc nadal udoskonalać żuławską ziemię.

A wszystko po to, by słynne żuławskie łąki dawały jeszcze więcej paszy dla bydła, żeby tłuste, żyzne mady rozdziły przeciętnie po 40 kwintali pszenicy i jęczmienia, a po 600 kwintali buraków cukrowych z hektara.

St. Goszczurny, Wrzeszcz

Fot. Z. Kosycarz



Tak wyglądały Żuławy w roku 1915

PREHISTORYCZNE WYKOPALISKO

W okolicy Międzyrzecza (woj. zielonogórskie), w użytku piaszkowym eksploatowanym dla celów budowy, grupa robotników odkopła niedawno doskonale zachowaną urnę prehistoryczną, zdobioną w bogaty ornament. Pracownicy naukowcy międzyrzeckiego muzeum regionalnego po szczegółowych oględzinach stwierdzili, iż jest to urna kultury łużyckiej, i z kolei przekazali ją do dalszych badań Uniwersytetowi w Poznaniu.

Miejsce, w którym odkopano urnę, znajduje się w pobliżu ruin warowni wzniesionej przez Kazimierza Wielkiego na resztkach budowli z czasów Bolesława Chrobrego.

Nie jest to pierwsze wykopalisko odnalezione w tej okolicy. Niemal co roku w czasie prac rolnych czy ziemnych, prowadzonych na Ziemi Lubuskiej, zwanej przez uczonych „skarbnica prehistorycznych zabytków”, od-

najdywane są bezcenne, wielowiekowe wykopaliska. To też od dłuższego czasu na terenie tym prowadzone są planowe badania archeologiczne.

Mieczysław Turski, Poznań



Kustos regionalnego Muzeum w Międzyrzeczu ogląda wielowiekową urnę

FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ KAMERA — OLBRZYM

Dzisiaj wykonywanie powiększeń fotograficznych jest już regułą, tak ze względu na mały format negatywu, jak i możliwości opracowania obrazu fotograficznego. Ale dawniej...

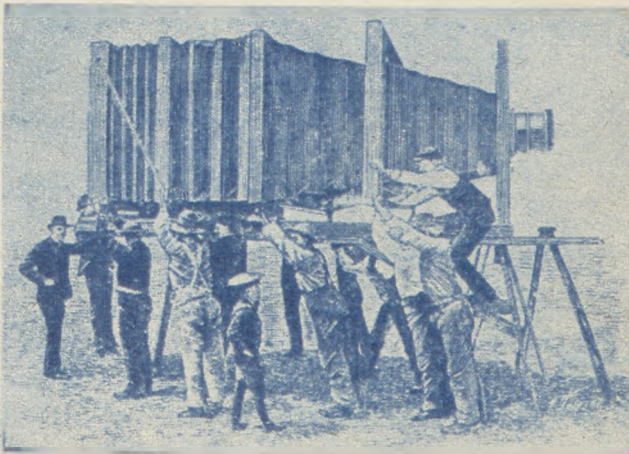
Nie są to bynajmniej zamierzchłe czasy, bo rok 1900. Złote dwa luksusowe wagony kolejowe, których jednak nie można było wysłać. Postanowiono więc zademonstrować na wystawie chociażby zdjęcia tych wagonów. Cóż, kiedy nie znano techniki powiększania, a na wystawie trzeba było dać fotografie w rozmiarach, oddających choć w przybliżeniu wielkość tych niedoszłych eksponatów.

Zdecydowano więc zbudować odpowiedniej wielkości aparat. Po dwóch miesiącach pracy skonstruowano kamerę, która dawała negatywy rozmiarów 244 na 304 cm. Miech tego olbrzyma rozciągać musiało aż kilkunastu ludzi. Ramy podtrzymujące czołówkę, „kasetę” negatywu i miech, posuwały się po stalowych szynach. Miechy wykonano z kauczuku, mocnego płótna czarnego, pokrytego jeszcze grubą, gęstą tkaniną czarną. Dla sklejenia tych materiałów użyto ponad 120 litrów kleju kauczukowego. Kasetę do negatywu zamykana była zasłona z ruchomych deseczek jesionowych, grubości 9 mm, pokrytych potrójną tkaniną nie przepuszczającą światła.

Obiektowy zbudowany przez zakłady Zeissa składał się z dwóch potężnych soczewek o ogniskowej 167 i 300 cm. Czas naświetlania wynosił ok. 3 minut. Aparat ważył 480 kg, a z naładowanymi kasetami — 635 kg.

W kamerze zbudowane były drzwi, przez które fotograf mógł wejść do wnętrza. Przy czerwonym świetle, wpadającym do aparatu przez okno w drzwiach, po podniesieniu zasłony jesionowej, omiatał delikatnie kliszę z osiadającym na niej pyłu. Przy zdjęciu miał do pomocy piętnastu ludzi.

A działał się to zaledwie przed 54 laty!



A. Szpiglasowa, Warszawa

PS. pod adresem ZUT: sprzęt, którym dysponujemy, trzeba także konserwować!

DZIESIEĆ OPOWIADAŃ LIRYCZNYCH



Potem wzrok ich przyciągnęła ważka, migotliwa, drżąca, otoczona błyskiem swych skrzydeł jak wirem małej tęczy.

Spojrzał na swoją dziewczynę. Spojrzał niespokojnie. Unikła dziś jego wzroku, odwracała głowę od uśmiechów i od pocałunków. Było to równie wyraźne, jak niezrozumiałe. Rósł w nim więc żal, który chciał jeszcze od siebie odsunąć, odepchnąć, jeśli już nie jej czułością, to własnymi słowami.

— Dawniej, gdy czytałem książki — powiedział — to na historie o miłości nawet patrzeć nie chciałem. O żołnierskich sprawach... o lotnikach, zawsze było ciekawie. Ale teraz chciałbym tak czytać o miłości, żeby to było... żebym... żebym umiał mówić do ciebie wszystko, co mam na sercu i na myśli. Czasem, jak ciebie zobaczę, jak pojdę i patrzę na ciebie, to już nawet nie wiem, czy z daleka jesteś bardziej wyteśkniona, czy z bliska.

Milczała. Spojrzała nań bokiem, trochę strachliwie, od razu uciekła oczami ku kołyszącym się nad białym piaskiem rybkom.

— Ja wiem — mówił zasmucony — że inny tak nie powie. Albo się będzie śmiał, albo sypnie wiatrem w oczy. Po co dziewczynom gadać, co cieszy, co boli? A ja powiem, że człowiek bez szczerzej miłości łązi po świecie jak dziać po jarmarkach. Chlebem się z nim może i kto przełamie, ale tylko przez litość... nie jak człowiek z człowiekiem. Sam nawet o tym nie będzie wiedział, że tyle mu do dobrego życia, ile rybce do latania.

Znowu nie doczekał się odpowiedzi. Popatrzył na nią i spytał:

— Czemuś wczoraj tyle z nim tańczyła?

Teraz wreszcie podniosła na niego oczy. Trochę wtuliła głowę w ramiona, tak właśnie jak zawsze, kiedy ją całował.

— Nie mów tak — poprosiła. — Co to... dwa tańce?

— Ja bym Melnika i Hanańskiego do innego tańca prosił — powiedział — Dziedzice... kto ich do nas ciągnął... „kolchozu” przecie nie kochają.

Uśmiechnęła się. Mógł marszczyć czoło, zacinać wargi, a przy niej nigdy ta twarz nie stawała się złą czy okrutną. Nos miał chudy, lekko zadarty, po prostu dziewczęcy — gładkie i wesołe wargi — oczy jasne jak woda w słońcu.

Jej uśmiech odbił się na jego twarzy.

— Oj, ty — szepnął — wyteśkniona...

A potem zamiast, jak myślała, objąć ją, opasał rękami własne kolana i zadarłszy głowę ku górze mówił:

RÓWIEŚNICY



NIE WIEM, czy pamiętacie jesień 1953 roku. Była nawet w historii „polskich złotych jesieni” — zjawiskiem wyjątkowym. Jak ją opisać? Trudna to sprawa. Kiedy pewnego razu wczesnym popołudniem szliśmy z moim przyjacielem przez październikowy jesienny park, w słońcu, po liściach, aleją grabów, buków, kasatanów i klonów, powiedział do mnie tak:

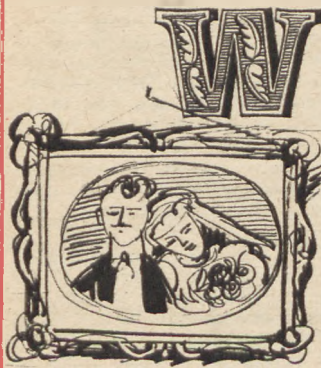
— Wiesz, Jerzy? Kiedy tak idę i patrzę na to wszystko, widzę tylko dwa wyjścia przed sobą. Albo być nie mniej niż Puszkinem, mówić: „Melancholijne dni, oczarowanie oczu. — Kocham jesieni pożegnalny smutek” i takimi słowami chwalić taką jesień... albo być tylko sobą i mówić po prostu: „No, popatrz, cholera... popatrz!”

Mój przyjaciel nie jest poetą ani pisarzem. Ale sądzę, że i poeci i pisarze łatwo pojmą jego rozżalenie. Czasem również trudno jest sprostować opisom wielkości człowieka, jak opisom piękności otaczającego nas świata.

Owa jesień zaś była istotnie porą zdumiewającej wprost urody.

Jeśli ją pamiętacie, wspomnijcie warszawskie niebo z tych dni i miesięcy. Jakaż różnorodność! Poranki z przypadłą ku ziemi mgiełką, czyste południa, chmury przesłaniające zachód jak kurtyny dramatu.

ŚLUBNA FOTOGRAFIA



1927 ROKU, w sierpniu, czeladnik ślusarski Franciszek Gajowski ożenił się z Karoliną Gackówną, służącą.

W 1952 roku Franciszek Gajowski, brygadzysta warsztatów mechanicznych jednej z wielkich fabryk warszawskich, z okazji dwudziestopięciolecia małżeństwa otrzymał wraz z żoną nowe mieszkanie w oddanej właśnie owego lata do użytku sławnej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Mieszkanie było trzyizbowe, o wielkich, na wschód zwróconych oknach, za którymi otwierał się widok na ogromny plac. Z balkonu trzeciego piętra tramwaje i auta częściej przypominały śmieszne zabawki niż poważne środki komunikacji miejskiej, bardzo zaś pięknie wyglądały z wysoka i daleka drobne plamki sukienek dziewczęcych.

Mieszkanie było już urządzone — gotowe do przyjęcia gości sproszonego na uroczysty wieczór srebrnego wesela. W kuchni czekały półmiski, tace i kieliszki. Pod spływającą z kranu wodą kilka butelek błyskało różnymi a ciekawymi barwami.

Gospodarzom pozostało jeszcze kilka drobiazgów: przetarcie mebli szmatką, talerzy, szklanek i kieliszków czystą ściereczką, pokrajanie chleba. Właściwie przyszła też już pora na przywdzianie ciemnobrązowej sukni i czarnego ubrania.

Oboje jednak stali właśnie dość bezradni przed wiel-

Jednego z pierwszych dni listopada wracałem do domu ulicą cichą, choć śródmiejską. Biegnie ona wzdłuż kilku gmachów szpitalnych przedzielonych miniaturowym parkiem z ławkami wśród drzew i krzewów.

Była to pora przedwieczorna.

I wtedy właśnie, kiedy wyszedłem na otwartą wśród murów przestrzeń, ujrzałem rzadkie a piękne zjawisko: po lewej stronie nieba trwał jeszcze czysty, pogodny dzień — po prawej zaś, wschodniej stronie, niebo błysnęło już pierwszą gwiazdą. Nie chciałem tracić z oczu tych tak widocznych wahań natury. Przysiadłem na jednej z ławek i oto z nowego miejsca, w nowej przerwie miejskiego horyzontu ujrzałem smukły kontur wieży i lśniąca iglicę Pałacu Kultury i Nauki.

Były to pierwsze dni wydzwignięcia iglicy na szczyt Pałacu. Ciągnęła, wabiła nasze oczy nieodparcie. Jednych swym pięknem — innych tajemnicą rozwiązań technicznych.

Szło właśnie dwu chłopców różnych wzrostem, barwą i chyba wiekiem. Jeden był tęgi, ciemnowłosy i spokojny — chudego blondynka rozpierał żarliwy niepokój dzieciństwa.

Widok iglicy powstrzymał ich w pół kroku. Przystanęli tuż przy mnie.

— Ale... co? — powiedział blondynek.

— Jak to może być zrobione? — zamyśla się ten drugi.

— Och, bardzo proste. To są te najsilniejsze maszyny, w których siedzi mechanik. Siedzi i naciska guzik. A ma-

szyna buduje, ciągnie w górę największe ciężary, i w ogóle!

— Widziałeś? „W fotelu”!

— Nno... nie widziałem? Dźwigi widziałem, i ty też widziałeś! Każdy widział!

— Dźwigi, to rozumiem. A ty od razu krzyczysz: najsilniejsza maszyna!

— Nic nie rozumiesz. Samymi rękami takiej wielkości nikt nie zbuduje. Tato mówi, że maszyna ma być taka, jak najsilniejsza ręka. A człowiek będzie tylko myślał, gdzie ona ma co położyć, zanieść albo przykręcić.

— „Będzie myślał... myślał”. Musi nacisnąć guzik.

— Pewnie: guzik też.

Chwila milczenia.

— Ale, żeby było takie ładne, sama maszyna nie potrafi zrobić. Człowiek musi wymyślić.

— Ech — głosik blondynka brzmi jak jasna trąbka — to wszystko jest już dawno narysowane przez artystów w takich projektach... architek-tury. Maszyny to inna sprawa. Maszyny będą tylko coraz silniejsze. Tato mówi, że dawniej to ledwo jeden mały strumyk kręcił młyńskie koło, a dzisiaj już morze dla nas pracuje.

— Dla kogo „dla nas”? Dla ciebie?

— A kto ci powiedział, że nie. Dorosnę, pokieruję i morzem.

— Naucz się naprzód autem kierować.

— A ty co? Morza się pewnie boisz!

Wracając przystanął w progu — szeroko otworzył oczy. Żona stała z założonymi na piersiach rękami tuż przy okiennym parapecie, zarówno gestem, jak złośliwym uśmieszkiem zagradzając drogę do lusterka.

— Coś znowu wymyśliła? — spytał niepewnie.

— Tu już nie będziesz chlapał mydłem ani szyby, ani podłogi — powiedziała — w łazience jest światło i lusterko. A ten się znowu pcha do okna!

Speszzył się.

— Zmądrzałaś — mruknął zawracając.

— A ubierz się wreszcie — krzyknął już za drzwiami — patrzeć nie można!

Golenie było niewygodne, nie przywykł na stojąco. Lustro wisiało trochę za nisko, musiał garbić plecy: przechylać na bok głowę. Na koniec oczywiście zaciął się pod brodą. Mimo to, jak zwykle przy goleniu, dobry humor wracał. W szerokim lustrze widział swą twarz coraz czystsza, jaśniejsza i młodszą, coraz weselejsze oczy, choć pięćdziesiąt pięć lat życia to kawał czasu.

Potem zaś znów spotkali się w stołowym, skrzepowani już nieco swymi odświeżonymi strojami, uroczysti, pełni godności. Spojrzał na nią uważnie. Bardzo lubił żonę z tymi ściągniętymi gładko włosami, w ciemnobrązowej jak jej młode oczy sukni, z białym kołnierzykiem, przy którym ciemna, cyganska twarz nabierała kolorów i rumieńców.

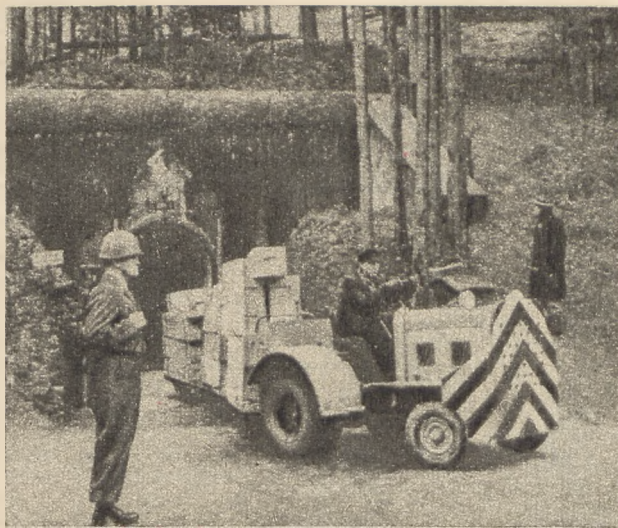
Wielka jasna ściana znów przyciągała oczy swą nie-dorzeczną pustką.

— Słuchaj. Franek — powiedziała cicho. — W taki dzień można by tu powiesić ślubną fotografię.

— Co powiadasz? — przeciągnął z uwagą. — Zobaczmy...

Nie był to jednak dobry pomysł. Ślubna fotografia

AMERYKANIE NA „LINII ZYGFRYDA”



Amerykańscy dyplomaci uparcie głoszą, że pobyt US Army w Niemczech ma charakter „wyłącznie pokojowy”. Inaczej na to patrzą amerykańscy dziennikarze. Tygodnik „Saturday Evening Post” z 20 lutego 1954 r. wielkimi literami obwieszcza:



„W samym sercu Europy armia amerykańska zbudowała największą na tej planecie sieć zaopatrzenia oraz baz. Stara hitlerowska Linia Zygfryda jest obecnie amerykańskim przedmieściem...”

Jeśli jest przedmieście, to musi być i centrum tej „sieci”. Mieści się ono w mało dotychczas znanym miasteczku Kaiserslautern, w Palatynacie, we... francuskiej strefie okupacyjnej Niemiec. „Pokoju” działalność żołnierzy, gospodarujących na tym terenie, tak opisuje wspomniane pismo:

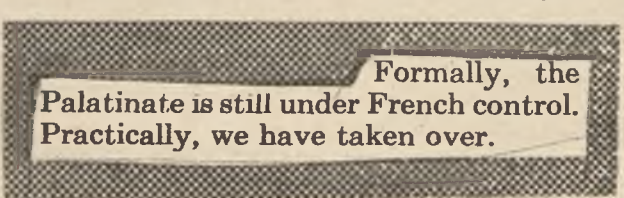
„Palatynat jest pofalowaną równiną, wznoszącą się łagodnie na zachód od Renu... Jest to łatwa droga z Francji do Niemiec i... vice versa... Na obszarze obejmującym 6 tysięcy mil kwadratowych nie widać prawie miejsca, gdzie nie powiewałby amerykański sztandar...”

O 20 mil dalej, równoległe do granicy (francuskiej) od Pirmasens w kierunku na Zweibrücken ciągnie się pas blisko 100 lochów, labiryntów i tuneli Linii Zygfryda. Powietrze pachnie tu wciąż jeszcze rokiem 1945...

W pobliżu tej linii Amerykanie zbudowali własne miasto, na którego budowę wydano dotychczas ogromną cyfrę... 600 milionów dolarów...

„Co ma to wszystko wspólnego z obroną Europy zachodniej?” — zapytuje z głupią frant reporter „Postu”. Odpowiadamy: nie ma to na pewno nic wspólnego z obroną...

Pozostaje jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia: co na to wszystko Francja, która przecież zarządza tym terenem? Na to daje odpowiedź amerykański reporter:



„Formalnie Palatynat jest wciąż pod francuską kontrolą. Praktycznie my go przejęliśmy...”
Jasno, krótko i zwięźle...

JEDNO DZIECKO — MIESIĄC ŻYCIA

Reakcyjny tygodnik francuski „Paris Match” donosi, że „rząd japoński jest zaniepokojony liczbą dzieci sprzedawanych przez rodziców. Policja ustaliła 15.000 takich wypadków. Handel ten spowodowany jest głodem przed głodem — zbiory ryżu były najgorsze od 60 lat. 90% zakupionych dzieci — to dziewczynki, kupowane jako służące oraz do domów rozpusty”. Ty-

godnik francuski informuje rzeczowo, że cena uzyskiwana za jedno dziecko „może starczyć rodzinie zaledwie na miesiąc utrzymania”.

Japonia jest teraz „wolnym krajem” wg wzorów amerykańskich. Każdemu wolno więc umrzeć z głodu — chyba że ma dziecko, którego sprzedaż pozwoli na przetrwanie do przednówka...

NAUKA, KTÓRA ZABIJA

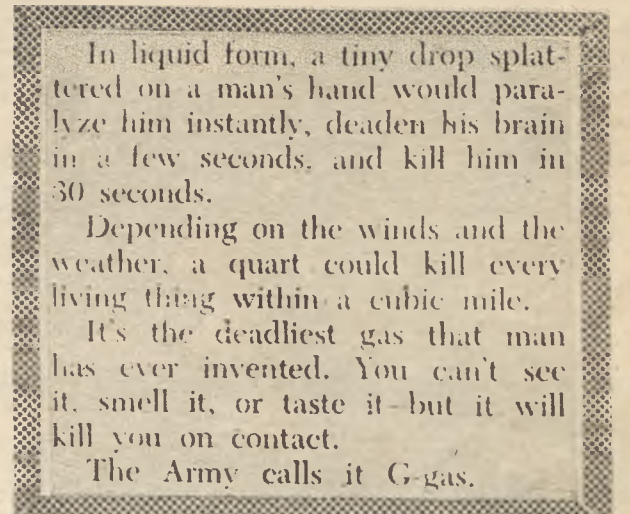
„Zabijanie — to nasz sposób udoskonalania rasy. Jest to metoda amerykańska i dlatego najlepsza” — pisał znany dziennikarz amerykański John Wallis. Że „ideały amerykańskie” nie uległy zmianie, świadczą poniższe informacje, zaczerpnięte z jednego numeru tygodnika „Newsweek”.

Oto one:



„Naukowcy w Camp Detrick udoskonalili zarazki niszczące plony z powietrza”.

A dalej „Newsweek” snuje takie oto marzenia:



„W formie płynnej mała kropla, która spadłaby na rękę człowieka, sparaliżowałaby go natychmiast. Mógłby go zastygł w parę sekund. Śmierć nastąpiłaby po 30 sekundach. Zależnie od wiatrów i pogody kwarta płynu mogłaby zabić każdą żyjącą istotę w promieniu mili sześciennego. Jest to najbardziej śmiertelny gaz, jaki kiedykolwiek został wynaleziony przez człowieka. Nie można go widzieć, wąchać czy próbować smakiem — zabija jednak natychmiast przy zetknięciu.

Armia nazywa go gazem G...”

W taki to właśnie sposób amerykańscy „naukowcy” chcieliby „udoskonaląć rasę”.

OGŁOSZENIE Z TRUPIM ZAPASZKIEM



własnością. Zachowuj ją w sposób stały... widoczny... piękny...”

Tu sprytny handlowiec spod znaku dolara i kostuchy (świetnie się to zobaczysz — nieprawda?) przechodzi do właściwego biznesu:

„Nie ma lepszego sposobu zachowania pamięci, utrwalania sentymentów w stałej formie, zadośćuczynienia dumie rodzinnego nazwiska — niż pomnik z granitu czy marmuru. Nie ma też lepszego czasu do wyboru pomnika i działki, którą on oświetni, poza chwilą obecną, kiedy wszyscy zainteresowani są na miejscu i mogą to starannie przemyśleć... Celem przyjaźni jest współpraca zjadawców pod numer lokalnego agenta „Amerykańskiego Instytutu Monumentów”. Napisz po bezpłatnej broszurze „Pomoc w czasie rozpaczy”, która pomoże ci przygotować się na to, co może nastąpić jutro. Powinno to być czytane przez każdą amerykańską rodzinę...”

Innymi słowami: Memento mori, albowiem już jutro spaść może na ciebie bomba wodorowa — daj nam jednak przedtem zarobić parę dolarów, bo pieniądze trupem nie śmierdzi...

W Stanach Zjednoczonych można za dolary kupić wszystko: samochód, dom, żonę, dziecko, honor... Obecnie dowiadujemy się o nowym pomysle z dziedziny kupna - sprzedaży: o możliwościach kupna... pamięci u ludzi. Woła o tym wielkimi zgłoskami półkolunnowe ogłoszenie w amerykańskim tygodniku ilustrowanym „Saturday Evening Post” z dn. 13 lutego br. Ogłoszenie utrzymane jest w stylu prawdziwie kaznodziejskim:

„Pamięć jest bezcenna

— Pracować lepiej się chce... życie jest lepsze. Ot, co ci powiem: sama partyjność mi teraz jeszcze bliższa... Jakbyś mi nawet całą klasowość lepiej przetłumaczyła. Taaak. Widzisz, jakie to życie? Człowiek w samotności nie zbawi ani duszy, ani świata. Ale — zaciął się — ale... nie tańcz ty z nim więcej.

— Nie — szepnęła.

Znowu nastała cisza niedzielного południa, póki nie przerwał jej gorący i czuły ptasi gwizd. Ona ciągle patrzyła na rybki wodzące po dnie stadko swoich cieni — on zaś przyglądał się wielkiemu obłokowi, który trwał nieruchomo na białym błękitcie.

— Zaśpiewaj co — poprosił.

Potrząsnęła leciutko głową. I dopiero po chwili powiedziała.

— Wiesz?

— No co?

Uparcie patrzyła w wodę.

— Trzeba nam prędko się pobrać.

Zwrócił ku niej niespokojną twarz.

— Bo... no mów: bo co?!

— Bo... bo ludzie się będą śmiali... potem...

Chciał coś powiedzieć. Ale nie wiedział co. Zerwał się, szeroko rozpostarł ręce. Spojrzawszy na jego rozwarłe niepokojem oczy i zdumieniem usta mimo woli zachichotała cichutko.

On zaś w nagłym zrozumieniu sprawy zakołysał się w ugiętych kolanach. zamachał ramionami, podniósł głowę ku niebu — i krzyknął:

— Eeeeeej!

Krzyknął tak potężnie, że pola, strumień, las i niebo odpowiedziały echem:

— Eeeeeej!

— Kto się boi, jeszcze zobaczymy. A ułamek i liczb dziesiętnych ciągle nie umiesz. „Tato” ci tego nie powiedział?

— Chcesz dostać?

— Bo po co zmyślasz?

— Nic nie zmyślam. Każdy wie, że już się i morza buduje. Ta... — zająknięcie — tato mówi, że tam, gdzie bomby nie zjadają chleba, tam nawet góry można przedstawiać z miejsca na miejsce, jeśli tylko mogą się przydać.

— Hi, hi... „bomby zjadają chleb”... wymyśliłeś!

— Ech — z pogardą — żebyś ty choć kiedy zrozumiał.

Ale pogarda ustępuje nagle zachwytowi:

— Ach, patrz, patrz... jak błyszczą! Iglica... ale, co?

Znowu sekunda milczenia.

— Chodź, bo się spóźnimy.

Blondynek patrzy na mnie. Podchodzi. Kłania się.

— Przepraszam, która godzina?

Odpowiadam, ale i zadaję pytanie:

— Przepraszam — mówię — ile koledzy mają lat?

Są w pierwszej chwili zdziwieni. Potem brunet uśmiecha się w spokojnym poczuciu wyższości.

— Dziesiąty, proszę pana. Ja jestem z czterdziestego czwartego... z czerwca. A on — machnięcie dłonią — on dopiero z sierpnia...

Blondynek oburza się groźnie.

— Tylko nie z sierpnia... nie z sierpnia. Nie wie, a mówi. Z lipca

była po prostu małą pocztówką w chudej ramce za szkłem: stali obok siebie sztywni i jakby nieco wystraszeni czekającym ich życiem, szczególnie ona uniosła wysoko brwi i jej wielkie oczy rozwierał przestraszony blask. Z bliska można było zresztą zdjęcie polubić i nawet przez długą chwilę czule wpatrywać się w owe szeroko rozwarte oczy. Ale wystarczyło odejść kilka kroków, stanąć pod oknem, by wszystko to nikło i ginęło — zdjęcie sprzed dwudziestu pięciu lat stawało się na owej ścianie małą, głupią, ciemną plamką.

Zdjęła je więc bez słowa i odniosła na stare miejsce, na stolik w kącie. On też milczał.

— Idę pokrajać chleb. Już późno — powiedziała.

— Czekaj.

Gdy mijają go, objął ramiona żony i pocałował smagły policzek. Podniosła ku niemu oczy.

— No co, tato?

Żeby nie patrzeć na tamtą ścianę zwrócił się ku rozbartym drzwiom balkonu. Podeszli owe dwa kroki — do samego progu. Czekala, aż coś powie, ale on jeszcze milczał. Była to bowiem chwila szczęśliwa, lecz i nieco smutna zarazem. Jakby coś wymknęło się z rąk czy z uwagi, przepłynęło przez palce, minęło. Jakby życie nagle stało się za krótkie.

— Wiesz co, matka? — i oto uśmiechnął się. — Życie jeszcze przed nami. Trzeba będzie zrobić nową fotografię... taki, rozumiesz mnie... portret.

U ich stóp leżał wielki plac. Patrzyli nań w milczeniu, bo choć tramwaje i auta były małe jak zabawki, a sukienki dziewcząt stawały się drobnymi jak kwiaty płatkami, to jednak cieszył on teraz serce i oczy całą swą wielką, białokamienną, szeroką pięknoscia — objęty ich wzrokiem od krańca po kraniec nowy Plac Konstytucji.



Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek w życiu zostanę racjonalizatorem. Z cichą zazdrością w sercu patrzyłam na tych szczęśliwców, którym udało się, czy raczej, którzy potrafili wymyślić coś naprawdę nowego, pożytecznego, ułatwiającego ludziom pracę i życie.

Zebym tak ja — marzyłam w skrytości. Ale nie ludzi — nawet cieniem nadziei. Cóż bowiem mogłaby wynaleźć niewykwalifikowana Syrenka?

I oto niemożliwe stało się możliwym. A było tak.

Czekałam na pieniądze, które wysłano dla mnie pocztą z Warszawy. Wczoraj wysłane — myślę — przyjdą dzisiaj. No, nie dzisiaj, to najdalej jutro. Ale nie przyszły. Pojutrze też nie przyszły. Czekanie na pieniądze jest niewątpliwie jednym z tych czekań, które się najbardziej dłuży, jako że nie ma nawet czym, ściślej za co, zabić wlokącego się czasu. Pozostaje samo myślenie, a samo myślenie, jak wiadomo, rzadko kiedy rodzi pieniądze. Wnę myślałam, co by tu zrobić, żeby przesyłki w obrębie Warszawy kursowały nieco szybciej.

Czwartego dnia czekania dzwonek listonosza wyrwał mnie z głębokich docieków matematyczno-zoologicznych.



Sprawdziłam stemple na przekazie. Istotnie, wysłane 9.IV, nadeszły do urzędu pocztowego 12.IV, a do mnie 13.IV, czyli „szły” cztery dni. Potem wystarczyło już tylko zmierzyć odległość na planie Warszawy, coś tam dodać, pomnożyć i podzielić i... projekt racjonalizatorski gotów.

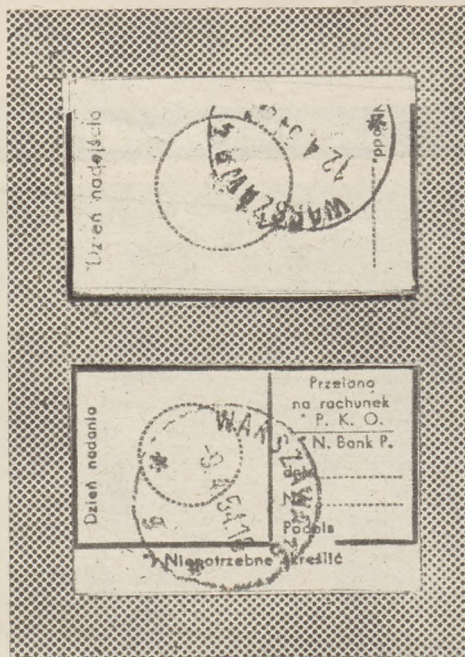
Kieruję go do Ministerstwa Poczty i Telegrafów w nadziei, że jak najszybciej zajmie się sprawą epokowego (nie chwając się) usprawnienia.

Jak wysokim urzędnikom pocztowym zapewne wiadomo, istnieje na świecie stworzenia zwane żółwiami (testudinata). Spośród kilkuset gatunków żółwi, przedstawiciele kilkunastu z nich poruszają się z taką szybkością, że odległość pomiędzy Warszawą 15 a Warszawą 4, czyli 1.600 metrów, prześlizgną co najwyżej w 48 godzin. To znaczy, że gdyby pieniądze, o których była mowa, wysłane zostały żółwiem, nadeszłyby o dwa dni, to znaczy o 48 godzin wcześniej niż to było w rzeczywistości.

Wnioski widać jasno, jak na dłoni. Ministerstwo Poczty i Telegrafów składa podanie do dyrekcji warszawskiego ZOO z prośbą o wyhodowanie i wyresowanie odpowiedniej ilości żółwi. Przypuszczam zresztą, że ogrody zoologiczne w innych miastach również nie odmówią pomocy tak bądź co bądź poważnej instytucji, jak Ministerstwo Poczty i Telegrafów. O ile byłyby trudności z najszybszym gatunkiem żółwi słodkowodnych, doskonale zastąpią je żyjące w Polsce żółwie błotne z gatunku emys orbicularis.

Nie wątpię, że dla najzdolniejszych okazów znajdą się odpowiednie etaty, będą bowiem wolne miejsca po tych, którzy dotychczas nie potrafili sobie z pocztą poradzić. W ten sposób praca poczty będzie nareszcie usprawniona, a to jest doprawdy wiele warte.

Nie mogę przy tym pominąć jeszcze jednej ogromnej i ważnej korzyści, jaką pocłagnie za sobą zaangażowanie żółwi do pracy w aparacie pocztowym. Jak podał A. Brehm w swoim słynnym „Życiu Zwierząt”, żółw przestraszony czymś po-



trafi poruszać się z wielką szybkością, znacznie przewyższającą jego normalne tempo poruszania się.

Cóż za niezwykła okazja, jeśli chodzi o przesyłki telegraficzne i terminowe. „Nie można też odmówić im — pisze Brehm — pewnych umysłowych uzdolnień. Mają rozwinięte w pewnym stopniu poczucie miejsca, dają dowody pamięci, a czasem wykazują nawet dużo sprytu”.

Na zakończenie zawiadamiam uprzednio Ministerstwo Poczty i Telegrafów, że premii przypadającej mi z tytułu tego pomysłu racjonalizatorskiego, rzekam się w całości na korzyść pracownika pocztowego (o ile się taki znajdzie), który wymyśli jeszcze lepszy od mojego sposób usprawnienia i przyspieszenia pracy poczty.

miednicę wlać 4 litry zimnej wody, dodać pół szklanki amoniaku, włożyć w to płaszcz na 1-2 godziny. Kiedy zmieni się, wyjąć go, powoli rozprostować, strzepnąć, żeby zalać się wyrównały (nie rozciągać w rękach!) i powiesić na ramiączku nad miednicą, a gdy ocieknie z wody wysuszyć na powietrzu (na balkonie czy w otwartym oknie).

następnie w zimnej, aby włos nie zmógł.

Aby skóra na rękach nie czerniała przy obieraniu owoców, jarzyn lub kartofli, trzeba przed obieraniem zamoczyć ręce w wodzie z dodatkiem octu. Po skończonym obieraniu umyć ręce w tej samej wodzie szorując je czystą szcoteczką nie używaną do mydła. Dopiero kiedy ślady soku z owoców czy jarzyn znikną, można umyć ręce mydłem.

Jeżeli jakaś potrawa przypaliła się w rondlu, czy na patelni, nie trzeba skrobać szcoteczką, ani druciakiem, tylko zagotować w nim wodę z solą (na pół litra wody i łyżkę soli). Przypalona skorupa łatwo wówczas odejdzie i rondel można wytrzeć bez trudu.

Szcoteczkę do włosów obowiązkowo trzeba myć co dwa tygodnie. Wlać na płytką miseczkę wrzącą wodę, dodać amoniaku (na 1 litr wody 3 łyżki amoniaku) i zanurzyć szcoteczkę aż do opłaty. Potrząsnąć tak chwilę, otrząsnąć, znów zanurzyć i powtarzać to aż wszystkie brud spłynie. Oplukać potem najprzód w wodzie letniej,

Droży Czytelnicy!

Wiosenny konkurs „Świata” zainteresował tysiące naszych Czytelników, którzy oprócz rozwiązań — najczęściej prawidłowych — nadsyłały również miłe dla redakcji słowa. A oto wyjątki z niektórych listów:

„Kochana Redakcjo!”

Piszę do Ciebie w związku z Twoim konkursem. Z tym konkursem miałem dużo kłopotu. Ale opowiem jak to było od początku.

Rano zdjęto mi gips, gdyż miałem złamany prawy paluszek. Później namalowałem pięknego i wielkiego koguta na ścianie. Z powodu tego koguta Mamusia pokłóciła się z Tatusem i nie rozmawiają ze sobą. Tatus uważa, że kogut popsuł całe mieszkanie i że nasz dom wygląda jak „Kochanówek”, czyli dom wariatów; a Mamusia, że kogut upięknił całe mieszkanie i że nasz dom wygląda jak muzeum sztuki. Kiedy Tatus przyszedł i przyniósł „Świat”, to zaraz nad nim usiadł i powiedział, żebym szybko zjadł obiad i że nie ma dla mnie. Dopiero po obiedzie dostałem (świeży i jeszcze ciepły) „Świat” — i już mnie nie było. Czytałem i rozwiązywałem konkurs. Nagrody są „byczajsze” i chciałbym którąś z nich dostać.

A teraz trochę o sobie. „Świat” czytam od pierwszej chwili i zaraz bardzo mi się podobał. Najpierw kupowałem dla mnie (bo ja potrafię nudzić), a dzisiaj jest w domu bitwa o „Świat”. Bo pismo w „deseczkę” i każdy chce pierwszy czytać. Ja mam 9 i pół lat, chodzę do kl. IVa przy szkole TPD nr 11 w Łodzi i jestem przodownikiem nauki. (Samochwała w kącie stała). Najważniejsze wydarzenie w moim życiu: miałem pojchać na choinkę do Towarzystwa Bolesława Bieruta, ale zachorowałem. Czy pan Redaktor chorował kiedyś na ospę wietrzną? Oglądałem piękne zdjęcia z choinki noworocznej w „Świecie” i oblewałem się gorącymi łzami z „Świata” się zabrudził. Moja Babcia uważa, że takiego długiego listu i tak nikt nie przeczyta, ale ja żyję w Polsce Ludowej, gdzie nawet taki mały obywatel jest ważny. Dawniej kończyłem list: 1000000 itd. całusów, a dziś jestem harcerzem

C Z U W A J! Kochana Redakcjo!”

SEWERYN PŁOCKIER
Łódź, Jaracza 38

„Korzystając z tego, że w tygodniku Waszym ukazał się „Wiosenny konkurs” pt. „Co dotrze do naszych rąk” chcę wraz z rozwiązaniem konkursu napisać kilka słów.

My żołnierze bardzo lubimy czytać tygodnik „Świat”, mimo iż mało otrzymujemy tygodników, jednak kochamy tę gazetę, nie dlatego, że ma ładne obrazki, lecz dlatego, że uczy nas kochać naszą umiłowaną ojczyznę, Polskę Ludową. Z zainteresowaniem czytamy artykuły, które opisują wzrost i rozwój naszej gospodarki — piękne zdjęcia mówią, że to co mówi partia to się realizuje czynnem. Czytając te artykuły i oglądając zdjęcia, my żołnierze czujemy na sobie odpowiedzialność jeszcze większą za losy naszego kraju...

Dziękujemy Ci, Redakcjo, za Twe artykuły demaskujące imperializm. Ucząc nas one być czujnym i nienawidzić wroga. My rozumiemy, że za nami stoi cały naród, który buduje swoją lepszą przyszłość i od nas zależy, czy to piękne życie będzie wciąż budowane. Szkolimy się, by nigdy nie powtórzył się rok 1939 — jesteśmy synami bohaterskiego narodu.

Tylko... powiem Ci szczerze Redakcjo, że niekiedy czujemy się trochę dotknięci. Żadna gazeta, oprócz naszych wojskowych, nie podejmuje tematów mówiących o wojsku. My, żołnierze naszej jednostki, prosimy, aby w „Świecie” ukazały się jakieś choćby wzmianki o wojsku”.

JERZY SZCZEFANSKI
— Jedn. Wojsk.

„Mój Kochany „Świecie”

Przepraszam — ale jednak jesteś moim kochanym „Światem”. Moim oknem, przez które patrzę na świat. Z wielką niecierpliwością oczekuję dnia, w którym znów mogę Cię wziąć do ręki i przez Ciebie ujrzeć to, co jest dalekie i bliskie.

Jestem bibliotekarką w małej osadzie rybackiej w Trzebieży. Tutaj, do mojej biblioteki, dochodzi Twe pismo, które w ciżbie naszej wioski jest dla mnie promykiem słońca z wielkiego świata.

Właściwie, to chciałam zupełnie inaczej wyrazić swe podziękowanie za „moje” pismo, ale jakoś mi to nie wychodzi.

Poprzedzę na serdecznym pozdrowieniu i proszę, aby „mój” „Świat” przychodził nadal z tak wszechstronnymi wiadomościami, jak dotychczas.

URSZULA MUHL
Trzebież

P.S. W załączeniu przesyłam rozwiązanie Wiosennego Konkursu.

nasze gospodarstwo

PLAMY... PLAMY...

...z cukru — na tkaninie, zmywać ciepłą wodą dopóty, aż plama przestanie się lepić. Plamy „słodkie” najlepiej usuwać zaraz, zanim dostanie się na nie kurz.

...z jaj — na tkaninie, zmyć letnią wodą z mydłem.

...z wapna — na ubraniu. Zasznięte wapno trzeba jak najprędzej usunąć zdejmując je nożem lub szcoteczką ostrożnie, aby nie wetrzeć w tkaninę, następnie miejsce splamione zmyć wodą pół na pół z octem. Szyby pochłapane wapnem umyć także wodą z octem.

...z ołówka kłopotliwego — na palcach. Zmyć na przemian octem i spirytusem, opłukać ręce w letniej wodzie, potem umyć mydłem.

...z błota — na jasnej tkani-

nie. Po wyschnięciu błota zczyścić szcoteczką, plamę przetrzeć miększym białego chleba, a gdy się uparcie jeszcze trzyma, przemyć czystą wodką. Jeżeli tkanina jest w ogóle przybrudzona, czyścić tylko chlebem, gdyż wówczas od zwilżonej plamy zrobi się zaciek z kurzu.

RADZIMY...

Płaszcz gumowy złożony w kilkoro przeleżał przez zapomnienie całe zimę w walizce. Widocznie był wilgotny, ponieważ zesztywniał i skleił się tak, że nie można go teraz rozprostować. Co zrobić? Wyrzucić szkoda, płaszcz prawie nowy, trzeba więc spróbować go uratować. Na dużą

Szcoteczkę do włosów obowiązkowo trzeba myć co dwa tygodnie. Wlać na płytką miseczkę wrzącą wodę, dodać amoniaku (na 1 litr wody 3 łyżki amoniaku) i zanurzyć szcoteczkę aż do opłaty. Potrząsnąć tak chwilę, otrząsnąć, znów zanurzyć i powtarzać to aż wszystkie brud spłynie. Oplukać potem najprzód w wodzie letniej,

LENGREN

SZATNIA



— Bardzo państwa przepraszam, ale ja tylko po płaszcz...

INDYJSKIE KSIĄŻKI

Na rynku księgarskim ukazały się niedawno następujące przekłady i wznowienia z dziedziny literatury włoskiej.

IPPOLITO NIEVO — „Na zamku Fratta”. („Czytelnik” str. 247, zł 10,00) Utwór ten składa się z pięciu pierwszych rozdziałów obszernej nieukończzonej powieści, która obrazuje w sposób satyryczny życie feudalnej rodziny hrabiowskiej na terenie Republiki Weneckiej w końcu XVIII wieku. Rozdział stanowi pełną całość, która niewątpliwie zainteresuje czytelnika. Autor książki, młodo zmarły pisarz i poeta, był rewolucjonistą. Zginął na statku, który zatonił podczas powrotu ekspedycji Garibaldi z Sycylii. (1861). Nievo — prawnik z wykształcenia i oficer, poeta i pisarz w okresie „risorgimenta”, czyli walki wyzwolenczej we Włoszech w epoce Wiosny Ludów, ogłaszał pisma o tematyce społecznej, krytycznej i rewolucyjnej. Zajmował się zwłaszcza losem chłopów, ciemniejszych przez obszarńkowi swego kraju. Powieść wydobytą z zapomnienia jest interesującym przyczyńkiem do mało znanej u nas dziedziny rewolucyjnych tradycji literatury włoskiej.

ROBERT MARTIN — „Burza nad Koreą”. („Czytelnik”, str. 366, zł 14,—). Utwór Martina ukazywał się w odcinkach w piśmie „Unita”, centralnym organie Komunistycznej Partii Włoch. Akcja powieści roz-

grywa się między wrześniem 1950 a styczniem 1951 i mówi o bohaterstwie Koreańskiej Armii Ludowej i bratnich oddziałów ochotników chińskich. Książkę cechuje niezmiennie żywa fabuła. Akcja przedstawia działalność grupy patriotów, którzy wykradają z rąk amerykańskich interwentów dokumenty, dowodzące, że agresja USA w Korei była już od dawna przygotowana. Powieść obrazuje między innymi okrucieństwa amerykańskie dokonywane na więźniach obozów koncentracyjnych, metody śledcze agentów FBI, oraz pełną poświęcenia działalność i walkę partyzantów.

TRZY TOMY SATYRY W WYDANIU BIBLIOTEKI NARODOWEJ

W krótkich odstępach czasu wydało ostatnie Ossolineum trzy tomy celnych utworów satyrycznych, dotyczą-

cych różnych epok i środowisk. Wszystkie te trzy tomy ukazały się w cyklu wydawniczym Biblioteki Narodowej.

„Głowy do pożoty” — to powieść satyryczna Jana Łama, postępowego pisarza polskiego drugiej połowy XIX wieku. Łam przedstawia w „Głowach do pożoty” szeroki obraz życia Galicji lat 60-tych ubiegłego stulecia.

Pierwsze od siedemdziesięciu lat krytyczne wydanie „Satyr” Krzysztofa Opalińskiego (1610—1656) posiada rewizjonistyczny charakter w stosunku do dotychczasowych, jednostronnych opinii, obniżających istotne wartości autora i jego dzieła.

Poza tymi dwoma tomami satyry polskiej ukazało się nowe wydanie „Bajek” Jana Łafontaine’a. Zawiera ono pierwszy pełny przekład polski „Bajek” dokonany przez Stanisława Komara.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udzielić oraz zamówienia przyjmują Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśnodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 223. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-12250 podpisano do druku dnia 21.IV.54 r.

SZACHY

PARTIA NR 106

grana jako dwunasta partia meczu o mistrzostwo świata.

Obrona słowiańska

Białe: M. Botwinnik
Czarne: W. Smysłow

1. d2-d4 d7-d5 2. c2-c4 c7-c6 3. Sg1-f3 Sg8-f6 4. Sb1-c3 d5:c4 5. a2-a4 Gc8-f5 6. e2-c3 e7-e6 7. Gf1:c4 Gf8-b4 8. 0-0 Sb8-d7 9. Sf3-h4.

Dotychczas partia przebiegała utartymi ścieżkami tzw. wariantu holenderskiego obrony słowiańskiej. Ostatnie posunięcie Botwinnika jest spotykane bardzo rzadko, gdyż biały skoczek zajmuje na bandzie niezbyt wygodną pozycję. Planem białych jest wzmocnienie swego centrum.

9... 0-0
Silniejsze wydaje się 9... Gg4 i np. 10. f3 Sd5! 11. He1 Ge7.

10. f2-f3 Gf5-g6 11. e3-e4 e6-e5 12. Sh4:g6 h7:g6 13. Gc1-e3 Hd8-e7 14. Hd1-e2 e5:d4 15. Gc3:d4 Gb4-c5 16. Gd4:c5 He7:c5+.

Wchodziło również w rachubę ostrożniejsze 16... S:c5, z pozostawieniem hetmana dla obrony królewskiego skrzydła.

17. Kg1-h1 g6-g5

Czarne przeciwdziałają posunięciu 18. f4.

18. g2-g3 Wa8-d8 19. Gc4-a2 Wf8-e8 20. Wa1-d1 Sd7-f8 21. Wa1:d8 We8:d8 22. e4-e5 Sf6-d5 23. Sc3:d5 c6:d5.

Czarne uzyskały wyprawdzie wolnego piona, ale za to ak-

cja białych na królewskim skrzydle staje się coraz bardziej niebezpieczna.

24. He2-d2 Sf8-e6 25. f3-f4 g5:f4 26. g3:f4 Hc5-c6 27. f4-f5 Se6-c5 28. Hd2-g5 Wd8-d7?

Czarne odczuwają brak czasu na obmyślenie posunięć i popełniają w tej niełatwej sytuacji błąd, po którym traca

figurę. Należało grać 28... He8 i np. 29. Wg1 Hf8.

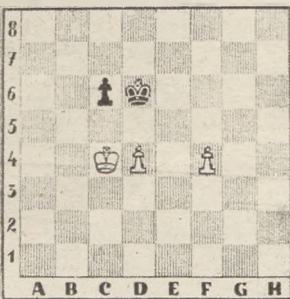
29. Wf1-g1 f7-f6 30. e5:f6 Sc5-e4 31. f6-f7+! Wd7:f7 32. Hg5-d8+ Kg8-h7 33. Ga2:d5 Se4-f2+ 34. Kh1-g2 Hc6-f6 35. Hd8:f6 Wf7:f6 36. Kg2:f2 Wf6:f5+ 37. Gd5-f3 Wf5-f4 38. Wg1-g4 i czarne poddały się.

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” – CZYTELNICY

W partii W1 Czytelnicy zdecydowali się na bicie: 53... g5:f4 (88,3% głosów), zaś w partii W200 zwyciężyło wy-

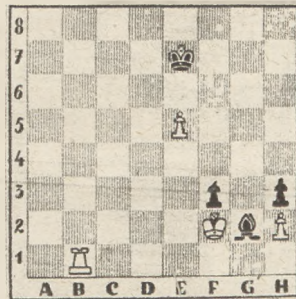
Kd7-e7 (94,8% głosów). Po uwzględnieniu posunięcia Redakcji nasze partie przedstawiają się następująco:

PARTIA W1



52. Kd3-c4 Ke6-d6
53. f3-f4 g5:f4
54. g3:f4

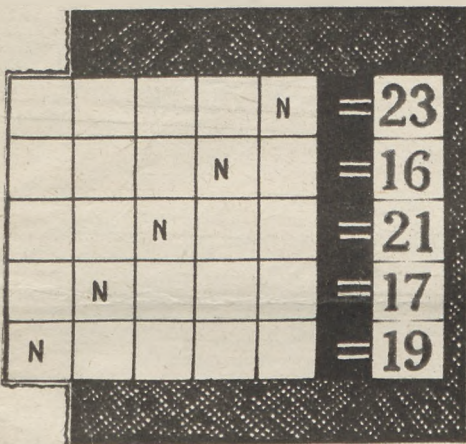
PARTIA W200



52. Ke3-f2 Ke7-d7
53. Wf6-b6 Wd7-e7
54. Wb6-b1

Przypominamy, że odpowiedzi na 54 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek 27 kwietnia br.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



E równa się 2, G — 3, K — 4, N — 5, O — 6, R — 7, Z — 8 — to suma liczb w poszczególnych rzędach wynosić będzie kolejno: 23, 16, 21, 17 i 19. Rozszyfrowane wyrazy dadzą się czytać jednakowo w kierunku poziomym jak i pionowym, czyli prawidłowy kwadrat magiczny. Pięć liter podano na rysunku na właściwych miejscach.

(„Lia”)

SZARADA

Z szarady się dowlecie,
Ze w szubińskim powiecie
CAŁE, Czytelnicy mili,
Schludnymi chatami się biegi.
I choć tu nie płynie TRZY wspan — DRUGA
Tylko RAZ-WTÓRA jakaś struga,
Miejsce godne jest uwagi!
Chłopi złożone w sztafi
Snopy do spółdzielni wożą,
Młóca i pszenicę hożo
Do CZWÓR-DRUGIEGO sypią wraz
Na biały chleb roboczych mas.
A CAŁE winno być bliskie
Wszelakiemu szaradziście!

(A. Wonko — Słupsk)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru, pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

MAGICZNY KWADRAT

Kwadrat powyższy tworzy 5 wyrazów pięcioliterowych, ułożonych jeden pod drugim. Jeżeli założymy, że litera A równa się 1,

Premier włoski Scelba ofiarował Adenauerowi akwarele, które swego czasu Mussolini otrzymał od Hitlera.



SPADKOBIERCY

Bardzo efektowny kostium z jasnej wełny i szykowna popołudniowa suknia z czarnego jedwabiu w drobne, szero-rozmiarowe białe grochy — to dwa ostatnie modele włoskiego czasopisma „Noi donne”. Obie te kreacje polecamy naszym Czytelniczkom.



TANIO i ŁADNIE

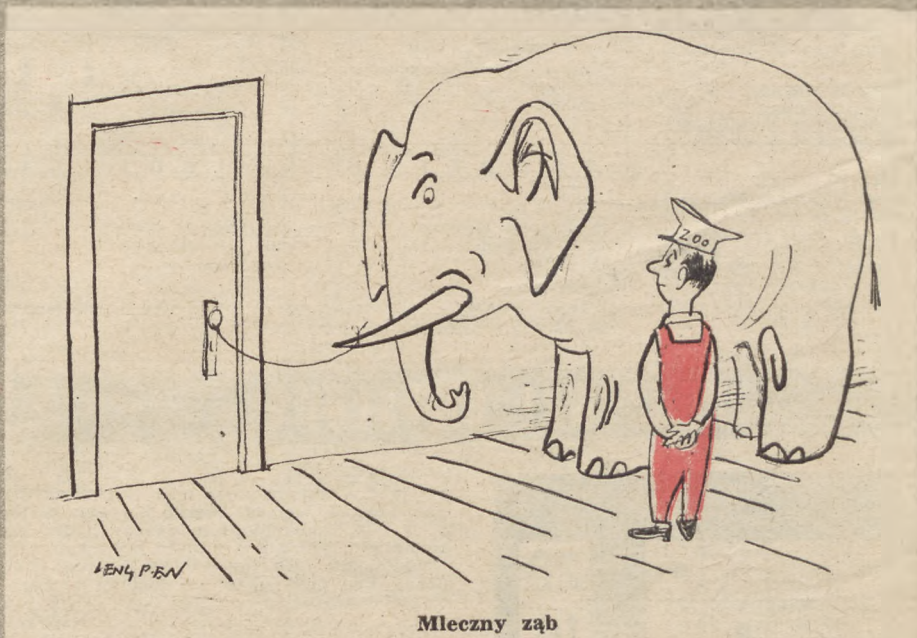


Te dwie zgrabne i bardzo proste sukieneczki dla dziewczynki od 6 do 10 lat nasze Czytelniczki same mogą uzyć w domu ze zwykłego kretonu lub płócienną bawełnianą, które w ogromnym wyborze dostaną w sklepach upolitecznionych.

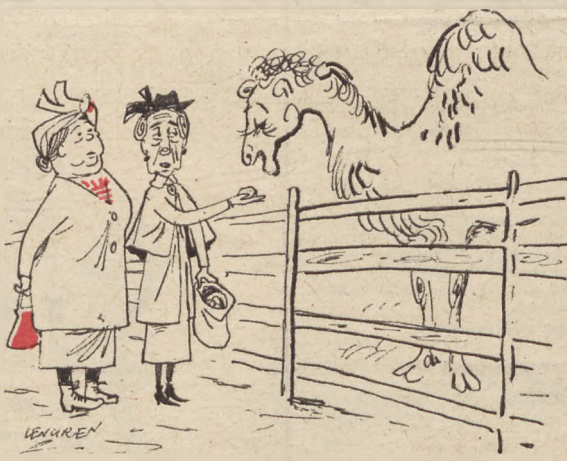
w ~~ZOO~~ ZBIGNIEW LENGREN



— Popatrz, kochanie, jak mi w nim do twarzy...



— Proszę o książkę zażaleń! — Od pół godziny ten lew się nie odwraca!

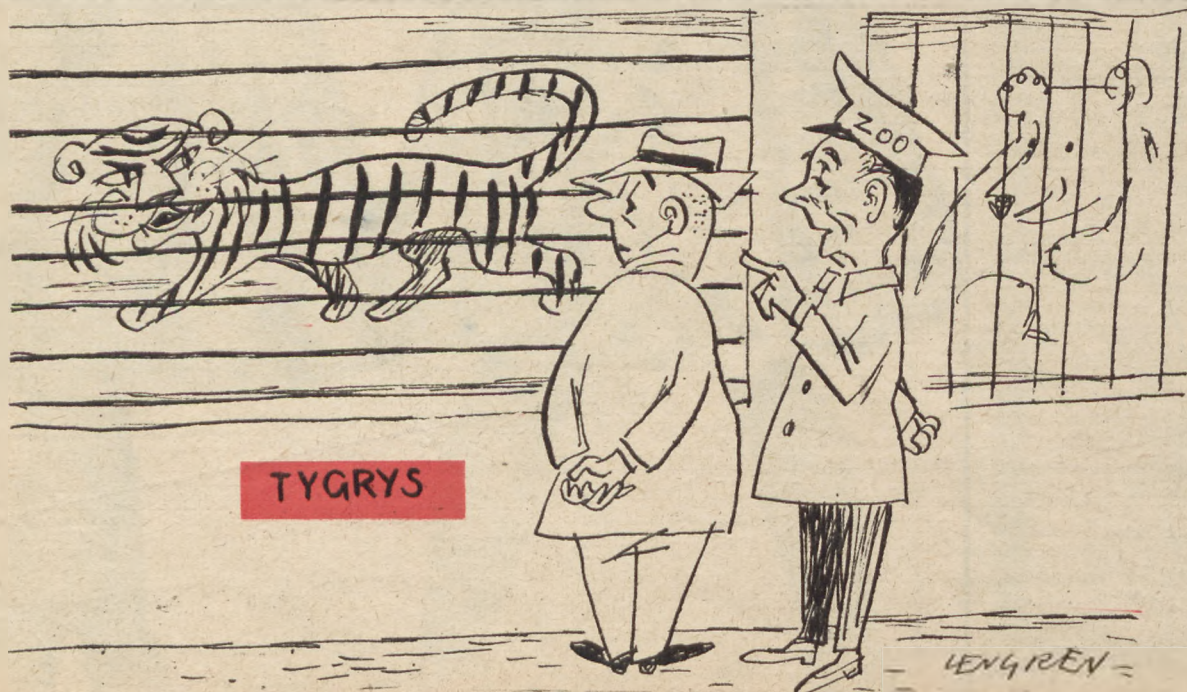


— Ja to już taka jestem, pani Kapuścińska, że kalece nie odmówię...



Bardzo przepraszam drogie Czytelników, ale miałem zrobić osiem rysunków i nie starczyło mi pomysłów.

LENGREN



— ...Daliśmy pręty podłużne, bo publiczność narzekała, że jest mało widoczny.

